

G A Z E T K A
Z E S P O Ł U S Z K Ó Ł
S I Ó S T R
N A Z A R E T A N E K
1 / 2 0 1 7



Siedlisko

WIELKANOC



Wielkanoc, Niedziela Wielkanocna, także: Wielka Niedziela, Zmartwychwstanie Pańskie. Wielki Dzień – najstarsze i najważniejsze święto chrześcijańskie upamiętniające zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, obchodzone przez Kościoły chrześcijańskie wyznające Nicejskie Credo (325 r.).

W chrześcijaństwie wprowadzie każda niedziela jest pamiątką zmartwychwstania Chrystusa, ale Niedziela Zmartwychwstania jest z nich najbardziej uroczysta.

Niedziela Wielkanocna w obrządku rzymskim rozpoczyna się już w sobotę po zapadnięciu nocy.

Wielkanocne zwyczaje ludowe.

Z obchodami Świąt Wielkanocnych związanych jest wiele zwyczajów ludowych (z których część wywodzi się ze starosłowiańskiego święta Jarego):

śniadanie wielkanocne, pisanki, święconka, śmigus-dyngus, dziady śmigustne, Rękawka, Emaus, walatka, kurek dyngusowy, Siuda Baba, wieszanie Judasza, pogrzeb żuru i śledzia, pucheroki, przywołówki, palma wielkanocna, Jezusek Palmowy.

Przywołówki - to kujawski zwyczaj wielkanocny. Wieczorem w Niedzielę Wielkanocną mieszkańcy wsi zbierali się na centralnym placu, a kawalerowie udawali się na podwyższenie, skąd wygłaszali wierszyki na temat okolicznych panien.

Pucheroki - to zwyczaj obchodzony w Niedzielę Palmową.

(**Pucheroki** - nazwa pochodzi od łacińskiego słowa puer, czyli chłopiec. Zwyczaj ten wziął się od krakowskich żaków. Pierwszą wzmiankę o nim odnotowano w XVI wieku. Jeszcze w XVIII wieku w Niedzielę Palmową po nabożeństwie żacy ustawiali się w dwa rzędy w kościele i recytowali wierszowane oracje, które pełne były niewybrednych żartów. Kuria biskupia z tego powodu w 1780 roku wydała edykt zakazujący wystąpień pucheroków w miejskich kościołach. Wówczas żacy przenieśli się na podkrakowskie wsie. Dziś pucheroki zobaczyć można zaledwie w czterech miejscowościach: w Bibicach, Zielonkach, Trojanowicach i Tomaszowicach.

Pucheroki to chłopcy w wieku szkolnym ubrani w kozuchy odwrócone futrem na wierzch, na głowach noszą wysokie, stożkowate czapki z kolorowej bibuły, twarze smolą sadzą. W pasie przewiązani są powróstami. W jednej ręce mają koszyk z sieczką, w drugiej – drewniany młotek z długą rękojeścią, oplecioną bibułą. Za występy otrzymują jedzenie i drobne datki.)

Emanus – odpust, nazwa zwyczaju ludowego urządzanego w Poniedziałek Wielkanocny.

Walatka - dawna zabawa wielkanocna.

(Polegała ona na takim toczeniu pisanek po stole, by się zderzyły. Właściciel „silniejszego” jajka zabierał rozbitą pisanek przeciwnika. W innym wariantcie *walatki* jajka brano do ręki i stukano się ich czubkami.)

Siuda Baba - tradycja ta nawiązuje do wiosennych słowiańskich obrzędów wypędzania zimy

Stanisław Sierżęga, kl. IV „a”



Wielkanocne zwyczaje raz jeszcze

Nadszedł już okres Świąt Wielkanocnych i wszyscy na pewno nie mogą doczekać się lanego poniedziałku, czy podjadania mazurków, ale najpierw trzeba dowiedzieć się, skąd te zwyczaje pochodzą.

LANY PONIEDZIAŁEK (ŚMINGUS-DYNGUS)

Śmingus-dyngus – zwyczaj pierwotnie słowiański, a wtórnie związany z Poniedziałkiem Wielkanocnym. Współcześnie posiada wiele regionalnych nazw.

Pojęcie *dyngus* najprawdopodobniej wywodzi się z języka niemieckiego od słowa *dingen*, co oznacza "wykupywać się", ale Zygmunt Gloger dostrzegł również podobieństwo do niemieckiego słowa *dünguuss* (kałamarz, chlust wody), natomiast pojęcie śmingus może pochodzić z niemieckiego *schmackostern* lub polskiego śmigać. Śmingus i Dyngus przez długi czas były odrębnymi zwyczajami. Z czasem tak się zlały ze sobą w jeden, że przestano rozróżniać który na czym polega. Wyrazem tego było pojawienie się w *Słowniku poprawnej polszczyzny* Stanisława Szobera zbitki śmingus-dyngus. Dzisiejszy śmingus-dyngus ma niewiele wspólnego z pierwotnymi tradycjami i w odróżnieniu od poprzedzających go form (Śmingus i Dyngus) jest pisany małą literą. Początek ludowych zwyczajów obchodzonych w Poniedziałek Wielkanocny jest związana z praktykami Słowian, którzy czuli radość po odejściu zimy i przebudzeniu się wiosny. Śmingus i dyngus przez długi czas były odrębnymi obyczajami. Śmingus głównie polegał na symbolicznym biciu wtkami wierzy lub palmami po nogach i oblewaniu się zimną wodą, co symbolizowało wiosenne oczyszczenie z brudu i chorób, a w późniejszym czasie także i z grzechu. Na śmingus nałożył się zwyczaj dyngusowania (dyngowanie), dający możliwość wykupienia się pisankami od podwójnego lania. Dyngus związany był z folklorystycznymi praktykami Słowian poświęconym ekspedycji. Polegał na odwiedzaniu znajomych i przypadkowych osób. Wizytom zazwyczaj towarzyszył poczęstunek, bądź darowizna z zaopatrzeniem na drogę.

Słowianie uważali, że oblewanie się wodą miało sprzyjać płodności, dlatego oblewaniu podlegały przede wszystkim panny na wydaniu, z tego powodu obrządki polewania się wodą miały niekiedy charakter matrymonialny. Później w niektórych regionach ustalono, że trzeciego dnia Wielkanocy panny i dziewczęta mają prawo do odwzajemnionego rewanzu za wcześniejsze oblanie ich wodą.

Dawniej zwyczaj polewania się wodą znany był głównie na wsi i tam był huczniej obchodzony. Polewanie perfumami nie było jeszcze znane, a do praktyk stosowano m. in. cebryki z wodą. Polewaniu się wodą towarzyszyło często wielkanocne smaganie. O znaczącej obrzędowości śmingusa-dyngusa w dawnych czasach świadczą gdzieś zachowane tradycje z urodzajem, m. in. związane z kultem palm wielkanocnych. Oprócz tego obchodzone są także obrzędy, takie jak: śmiergusty, kurek dyngusowy, dziady śmigustne czy przywołówki.



Marcelina Buczek, VI „a”



Ozdoby wielkanocne

Zapewne choć raz chcieliście z okazji Wielkanocy przygotować mały podarunek dla bliskich lub przyozdobić świąteczny stół własnoręcznie wykonaną ozdobą, jednak często kończyło się to zniechęceniem i prostą kartką kupioną w sklepie. Tutaj zostanie zaprezentowanych kilka pomysłów, które być może wykorzystacie.

1. Ozdobne stoiko-wazoniki

Bardzo ładnie ozdabiają stół, do środka można włożyć kwiaty lub bazie.

Co potrzebujemy do wykonania?

Stoik, farbę podkładową lub białą, farbę do pomalowania stoika (najlepsza będzie akrylowa), czarny marker, lakier, niekoniecznie: kawałek sznurka lub wstążeczki do przyozdobienia góry stoika, pomponik na nosek królika, kawałek filcu na uszy królika, bądź skrzydełka kurczaka.

Jak wykonać?

1. Dokładnie czyszcimy i wycieramy stoik.
2. Malujemy stoik farbą podkładową.
3. Gdy już wyschnie, malujemy go farbą w takim kolorze, w jakim chcemy by był ostatecznie.
4. Gdy stoik całkowicie wyschnie, rysujemy pyszczek, oczka lub dzióbek.
5. Lakierujemy.
6. Gdy lakier wyschnie, jeśli chcemy, możemy go ozdobić np. kolorową wstążeczką.



Zdjęcie: <http://www.se.pl/galerie/161259/400900/wielkanocne-dekoracje-na-sto-jak-wprowadzic-swiateczny-nastroj/>

Magdalena Wronka, kl. VI „a”

To już było...



Walentynki

Ach, walentynki, czy nie ma bardziej znanego święta zakochanych? Kim był w ogóle święty Walenty i skąd pochodził? W tym artykule postaram się przedstawić dzieje walentynek...

Historia zaczyna się w ok. 175 roku, gdy w Interamnie urodził się chłopiec o imieniu Walenty. Szybko stał się dorosły, więc postanowił zostać lekarzem, lecz jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu wciąż: „To nie twoja bajka, bądź duchownym”. W czasach, w których żył, panował Klaudiusz II Gotycki. Okropny władca zakazał mężczyznom w wieku od 18 do 36 lat wchodzenia w związki małżeńskie! Uważał on, że najlepsi wojownicy to ci bez rodziny. Zakaz ten złamał biskup Walenty i błogosławił śluby młodych legionistów. Został za to wtrącony do więzienia, gdzie zakochał się w niewidomej córce swojego strażnika. Legenda mówi, że jego narzeczona pod wpływem tej miłości odzyskała wzrok. Gdy o tym dowiedział się cesarz, kazał zabić Walentego. W przeddzień egzekucji Walenty napisał list do swojej ukochanej, który podpisał: „Od Twojego Walentego”. Egzekucję wykonano 14 lutego 269.

Do Polski obchody walentynkowe trafiły wraz z kultem świętego Walentego z Bawarii i Tyrolu. Popularność uzyskały jednak dopiero w latach 90. XX wieku. Jedyne i największe w Polsce odbywają się corocznie od 14 lutego 2002 roku w Chełmnie (województwo kujawsko-pomorskie) pod nazwą "Walentynki Chełmińskie". Za sprawą przechowywanej, prawdopodobnie od średniowiecza, w chełmińskim kościele farnym pw. Wniebowzięcia NMP (1280–1320) relikwii św. Walentego, połączono tu lokalny kult św. Walentego z tradycją anglosaską.

Emilia Kurowska, kl. VI „a”



Kłaudia Konieczna, IV „a”

Dzień Kobiet

Dzień Kobiet to wbrew pozorom bardzo ważne święto. Każda z nas chce dostać prezent, choćby kwiaty. Dlatego rada dla „tych jedynek”, o tym święcie starajcie się nie zapomnieć. Jeśli jednak wam się to nie uda, wierzcie mi, w najlepszym przypadku będziecie mieć „przechlapane”. Skąd się wzięła ta tradycja?

Otóż to. Za pierwowzór Dnia Kobiet przyjąć można obchodzone w starożytnym Rzymie Matronalia. Było to święto przypadające na pierwszy tydzień marca, związane z początkiem nowego roku, macierzyństwem i płodnością. Z okazji tego święta mężowie obdarowywali swoje żony prezentami i spełniali ich wszystkie zachcianki i błahе życzenia.



Za początki Międzynarodowego Dnia Kobiet uważa się strajki robotnicze w Ameryce Północnej i Europie. Pierwsze obchody Narodowego Dnia Kobiet odbyły się 28 lutego 1909 r. w Stanach Zjednoczonych.

W 1910 roku ustanowiono obchodzony na całym świecie Dzień Kobiet, który służyć miał krzewieniu idei praw kobiet oraz budowaniu społecznego wsparcia dla powszechnych praw wyborczych dla kobiet.

19 marca 1911 roku po raz pierwszy Międzynarodowy Dzień Kobiet obchodzono w Austrii, Danii, Niemczech i Szwajcarii.



W latach 1913 i 1914 podczas Międzynarodowego Dnia Kobiet odbyły się demonstracje antywojenne. Tego dnia święto było obchodzone po raz pierwszy w Rosji, w ostatnią niedzielę lutego, co według kalendarza gregoriańskiego miało miejsce 8 marca. Tego dnia Dzień Kobiet obchodzony był także w innych krajach.

Również w XXI wieku obchodzi się ten szczególny dzień. Mężczyźni wręczają swoim żonom drobne podarunki, tj. kwiaty lub bombonierki.

Panowie, pamiętajcie o kobietach zawsze, nie tylko od święta .

Konstancja Kozińska, Kl. VI „a”



Dziewczyny są fajne, dobrze o tym wiesz!

Dzień Kobiet

(Jeremi Rusin, kl. III „a”)

8 marca to sensacja,

Dziewczyny są na wakacjach!

No bo to jest kobiet dzień,

Dla odmiany to dziewczyna jest leń.

Chłopaki dadzą koleżankom dziś kwiatki,

Podobnie uczynią dla swej matki.

Jeśli jesteś chłopakiem, zrób tak też,



ZALIPIE – MALOWANA WIEŚ



WARSZTATY WIELKANOCNE – KLASY PIERWSZE W DOMU MALATEK W ZALIPIU

4 kwietnia uczniowie klas pierwszych naszej szkoły pojechali na wycieczkę do Zalipia. Miejscowość ta słynie z malowanych chat i nie tylko w przepiękne wzory kwiatowe. Najstojniejszą malarką była Felicja Curytowa, której dom, jeszcze za jej życia, odwiedzany był przez turystów z kraju i zagranicy. Dzięki jej staraniom w Zalipiu stanął Dom Malarek – ośrodek twórczej pracy artystów ludowych. Dla podtrzymania tej ludowej tradycji corocznie w weekend po święcie Bożego Ciała organizuje się w Zalipiu konkursy na najpiękniej wymalowaną chatę, a także do dziś nadal zdobi się studnie, piwnice, psie budy i drobne przedmioty codziennego użytku.

Głównym celem naszej wyprawy były warsztaty plastyki wielkanocnej zorganizowane przez Dom Malarek. Mieliśmy okazję poznać trochę historii zalipiańskich malunków, obejrzelśmy również wystawę

zdjęć przedstawiających malowane gospodarstwa oraz wystawę prac ręcznych różnych artystów, min pani Curytowej.

Podczas warsztatów plastycznych zapoznaliśmy się z dawnymi technikami malarstwa ludowego. Najpierw malowaliśmy wybrane wzory kwiatów zalipiańskich przy użyciu farb na papierze. Następnie, pod czujnym okiem pań artystek, profesjonalnymi pędzelkami i kolorowymi farbami malowaliśmy drewniane jajka przyozdobione już jednym oryginalnym kwiatem przez panie malarki. Co ciekawe, żaden z zalipiańskich wzorów nie powtarza się dwa razy, nie ma dwóch identycznych malunków. Ostatnim etapem warsztatów było przyozdabianie palm oryginalnymi kwiatami zalipiańskimi wykonanymi z bibuły. Czas w Zalipiu minął szybko. Jego upływ mogliśmy samodzielnie zmierzyć przy pomocy słonecznego zegara, oczywiście wymalowanego w kwiaty. Wszystko, co uczniowie wykonali, mogli wziąć do domu, z czego byli bardzo zadowoleni.

Chętni odwiedzili mały sklepik, aby kupić drobne pamiątki z tego niezwykłego miejsca.

Wizyta w Zalipiu dostarczyła nam wielu wrażeń i rozwinęła nasze umiejętności malarskie. Zalipiańskie wzory urzekły nas ogromnie; bardzo podobały nam się przedmioty oraz domowe sprzęty zdobione kwiecistymi motywami.



W Zalipiu nawet pnie drzew zadziwiają kwiecistymi wzorami.











s. Aneta Szot



Słodką przygodę kl. VI „a”

6 marca 2017 r. przyszliśmy do szkoły, lecz ten dzień nie zapowiadał się zwyczajnie. Nasza wychowawczyni, pani Agnieszka Dudek, przygotowała dla nas wiele atrakcji. Cała klasa zebrała się na holu i punktualnie o godzinie 8:00 wszyscy razem udaliśmy się na przystanek autobusowy, aby stamtąd wyruszyć na spotkanie „słodkiej przygody”! Po niedługiej podróży autobusem byliśmy u celu, czyli w **„CiuCiu Cukier Artist- Najmniejszej na Świecie Fabryce Cukierków”**.

„CiuCiu Cukier Artist” znajduje się przy ulicy Grodzkiej 28 w Krakowie. Słodycze są produkowane ręcznie na bazie technologii zaczerpniętej z XVII i XVIII - wiecznych małych manufaktur. Fabryczka jest drugą w Polsce obok gdańskiej manufaktury. Jak twierdzą właściciele, prawdopodobnie jest to najmniejsza na świecie Fabryka Słodyczy, ponieważ zajmuje zaledwie 50 m² powierzchni.

Cała klasa weszła do manufaktury cukierków i naszym oczom ukazał się wspaniały widok - kolorowy świat słodkości: lizaki w przeróżnych kształtach, stoiki i pacuszki wypełnione po brzegi małymi cukiereczkami. Przywitała nas miła pani, zapraszając do podejścia do blatu, na którym leżały przeróżne narzędzia. Opowiedziała nam o produkcji cukierków w manufakturze. Nie były to jednak tylko puste słowa, bo wkrótce w drzwiach ukazała się inna pani z wielkim naczyniem wypełnionym ciepłym karmelem. To z niego powstają te smaczne słodkości. Przeźroczysty karmel o lekkim żółtym zabarwieniu szybko znalazł się na zimnym, kamiennym blacie. Czas, aby się schłodził. Dodano do niego barwniki: różowy i czarny, a następnie został podzielony na trzy części. Teraz mamy trzy kolory: czarny, różowy i naturalny. A jak zrobić biały karmel? To proste - wystarczy wziąć naturalny karmel i napowietrzyć go, czyli porozciągać na haku. Z trzech kolorów powstał wielki cukierek, miał około 13 cm wysokości. Był rozciągany i rozciągany, aż zmniejszył swój obwód do 2 cm. Następnie został pocięty na długie patyczki, z których później powstały małe cukiereczki. I nareszcie... czas na degustację! Mogliśmy się częstować. Cukierek był jeszcze ciepły, kiedy każdy z nas dostał po 3 małe słodkości. Po prezentacji mogliśmy zrobić zakupy w „CiuCiu Cukier Artist” w promocyjnej cenie. Z żalem opuszczaliśmy tę słodką krainę. Zebraliśmy się przed sklepem i każdy dostał jeszcze paczuszkę z cukierkami. To było naprawdę miłe doświadczenie.

Po naszej słodkiej przygodzie w „CiuCiu Cukier Artist” udaliśmy się na Rynek Główny, gdzie nie obyło się bez tradycyjnych krakowskich obwarzanków. Następnie zjedliśmy małe co nieco w McDonalddie i udaliśmy się na wykład o powietrzu i wodzie do Akademii Górniczo-Hutniczej. Byliśmy trochę za wcześnie, dlatego mieliśmy jeszcze chwilę wolnego czasu dla siebie. Gdy tak czekaliśmy, nagle ujrzeliśmy za oknem klasę VI „b” – oni też przyszli na wykład. Byliśmy zdziwieni, bo nie spodziewaliśmy się ich tu spotkać. Wykład rozpoczął się punktualnie. Zajęcia prowadzili trzej studenci, którzy odkryli przed nami tajnik nauki, pokazali wiele ciekawych zjawisk, np.: jak zmienia się głoś pod wpływem helu, zabawy z powietrzem i piłeczkami do ping – ponga. Tym razem nasz umysł mógł się cieszyć „słodką” dawką nowej wiedzy. Po pokazie, pełni nowych wrażeń, udaliśmy się na przystanek i pojechaliśmy autobusem w stronę szkoły. Podziękowaliśmy pani Agnieszce Dudek i opiekunom za wspaniałą wycieczkę. W cudownych nastrojach rozeszliśmy się każdy w swoją stronę.

Nasza „słodka przygoda” na długo jeszcze zostanie w naszej pamięci. Było to miłe doświadczenie nie tylko dla ciała, ale i naszego umysłu. Nie wiem, co dla innych było najfajniejsze, ale ja ciągle mam jeszcze w ustach smak tych cudownych morelowych cukiereczków... Mam nadzieję, że nasza wychowawczyni ma dla nas jeszcze wiele takich „słodkich niespodzianek”!

Urszula Wójtowicz – „słodka recenzentka”

Biblioteka Jagiellońska od piwnicy po strych **Klasa 1 "a" na zajęciach w Bibliotece Jagiellońskiej**

Tak to już jest z czytaniem, że nie dla każdego jest ono ulubionym lub jednym z ulubionych zajęć, zwłaszcza w wolnym czasie.

Czasem jednak warto sięgnąć po książkę i pozwolić zaprowadzić się w krainę wyobraźni, przeżyć wspaniałe przygody, zdobyć wiele ciekawych informacji. O tym wszystkim mogliśmy się przekonać, odwiedzając Bibliotekę Jagiellońską i słuchając opowieści oprowadzających nas pań. Pewnie jeszcze wiele czasu musi upłynąć, zanim pierwszoklasiści będą mogli korzystać ze wspaniałych zbiorów biblioteki, ale to, co można zobaczyć, zwiedzając ją, robi na każdym wielkie wrażenie. Mieliśmy okazję zobaczyć bibliotekę od piwnicy aż po strych, posłuchać historii



Biblioteki Jagiellońskiej i samego budynku, zwiedzić Oddział Magazynów - zobaczyć nowoczesny system transportu książek, a nawet samemu wysłać książki do konkretnej czytelni - System Tele-Lift, oraz sposób magazynowania zbiorów w Bibliotece Jagiellońskiej - na dwóch piętrach zintegrowany system i przesuwne szafy.

Zwiedzanie I piętra:

- omówienie i odwiedzenie czytelń (Czytelnia Informacji Naukowej, Czytelnia Dokumentów Audiowizualnych, Czytelnia Główna);
- prezentacja katalogu komputerowego.

Zwiedzanie II piętra:

- informacja o zbiorach specjalnych,
- zwiedzenie czytelni starych druków i rękopisów.

Ponadto,

- zwiedzanie Kliniki Papieru – zapoznanie uczestników z procesem odkwaszania zbiorów.

Na koniec wizyta w magazynie, w którym zgromadzone są wszystkie zbiory, które nie są książkami – gadżety dołączone do książek, czasopism, gazet. Są to między innymi: kamienie, zabawki, gry, maskotki, albumiki i wiele innych. Taka wycieczka może zachęcić niejednego wielbiciela telewizji i komputera do sięgnięcia po książkę lub czasopismo.







s. Aneta Szot

Nasze pasje

Szachy



Szachy to moja pasja od kiedy skończyłem 6 lat. Ta gra została wymyślona w VI wieku w Indiach, a do Europy zawitała w XIX wieku. W tej grze trzeba dużo myśleć, ale ci, którzy lubią nerwowe końcówki, akcję na szachownicy i rodzinne gry planszowe z logicznym myśleniem, powinni wybrać szachy. W szachach jest 2 graczy (jest wersja dla 3 osób, ale na tym to się nie znam), a każdy z nich ma 16 bierek: 8 pionów, 2 skoczki, 2 gońce, 2 wieże, 1 hetmana i 1 króla. Nie będę teraz opowiadał o zasadach, ale jedno jest pewne: szachy są super!!

Jeremi Rusin, kl. III „a”

TEATR



Rodzaje teatru:

- **teatru impresaryjny** (teatr dysponujący własnym budynkiem oraz zespołem technicznym i administracją, bez stałego zespołu aktorskiego, wystawiający spektakle przygotowane gdzie indziej przez inne podmioty),

- **repertuarowy** (teatr utrzymujący przez pewien okres na afiszu po kilka sztuk, granych na zmianę, pracujący jednocześnie nad kolejnymi premierami),
- **bulwarowy** (teatr prezentujący repertuar o lekkim charakterze, np. komedie i farsy)
- **ogródkowy** (teatr dający przedstawienia na scenie kawiarni lub restauracji mieszczącej się na świeżym powietrzu, popularny w XIX w.),
- **radiowy i telewizyjny**,
- **uliczny** (teatr, w którym przedstawienia odbywają się na ulicach, w parkach, czy na placach miasta; brak jest tradycyjnych środków teatralnych, takich jak scena, kurtyna, kulisy, dekoracje czy światło; występuje improwizacja i bezpośredni kontakt z widzem, który może stać się aktywnym uczestnikiem przedstawienia),
- **objazdowy** (teatr niemający stałej siedziby, dający przedstawienia w różnych miejscowościach),
- **szkolny**,
- **lalkowy** (przy zastosowaniu marionetek, kukiełek, pacynek, sycylijek <lalek z uchwytami u głowy, pleców i rąk, za które aktor trzyma lalkę> oraz teatr cieni),
- **teatr muzyczny** - nazwa powszechnie nadawana teatrom instytucjonalnym wystawiającym spektakle operetkowe, rewiewe, musicalowe itp.

Anna Janikowska, IV „a”

POCZĄTKI TEATRU

Początków historii teatru należy szukać w starożytnej Grecji, gdzie w 543 roku p.n.e. odbyły się pierwsze wielkie przedstawienia. Teatr rozwijał się również w starożytnym Rzymie, a następnie został zaadoptowany przez chrześcijańskie średniowiecze. Od oświecenia nastąpił powrót do starego typu teatru. Rozwijał się teatr neoklasycystyczny. Osobnym zjawiskiem na tle epoki była twórczość Szekspira. Przełomowa dla teatru była Wielka Reforma z XIX wieku. Dwudziestolecie międzywojenne to czas nowych pomysłów teatralnych **zArtauda i Witkacego**¹. Po II wojnie światowej rozwinął się awangardowy nurt teatru, którego jednym z głównych celów było zburzenie granicy między widzem a aktorem.

Teatr ma swoje źródła w starożytnych formach kultu religijnego. Pochodzi od dionizji – świąt w starożytnej Grecji organizowanych na cześć Dionizosa – boga wina, urodzajów, a także narodzin i śmierci. (Według innej koncepcji człowiek od najmłodszych lat ma skłonności do naśladowania – teoria Arystotelesa).

W starożytnej Grecji wykształcił się jeden z rodzajów literackich – **dramat**. Z Dionizji Wielkich, czyli obrzędów i procesji urządzanych wiosną w miastach, wykształciła się **tragedia**. Z kolei Dionizje Małe, święta ku czci Dionizosa obchodzone jesienią na wsiach, dały początek **komedii**. Natomiast z dytyrambów – pieśni śpiewanych ku chwale Dionizosa – wykształcił się dialog koryfeusza (czyli przewodnika chóru) z chórem. Koryfeusz stał się też prototypem aktora.

Po raz pierwszy aktora wprowadził w 534 roku p.n.e. **Tespis**. Później **Ajschylos** dołączył drugiego aktora, a **Sofokles** uznał za stosowne wprowadzenie aktora trzeciego. W jednym czasie na scenie starogreckiego teatru nie pojawiała się więcej niż 3 aktorów. Aktorzy występowali w kolorowych maskach, które odzwierciedlały humor granej przez nich postaci.

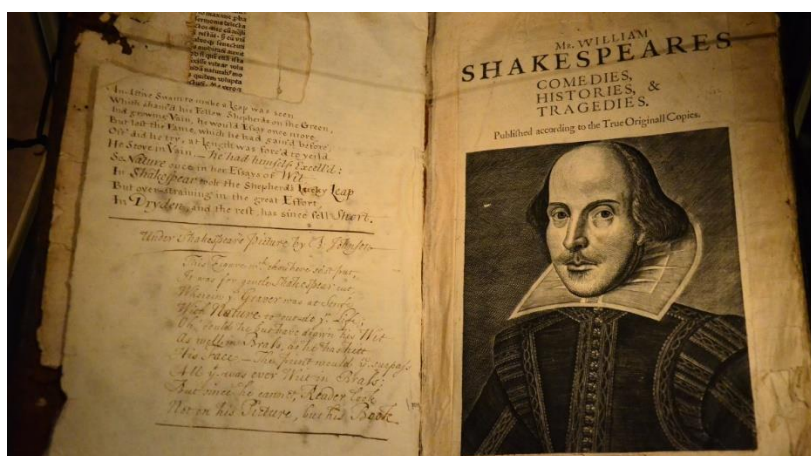
Pierwsze przedstawienia odbywały się po prostu tam, gdzie mogliby się zebrać mieszkańcy całego miasta i obejrzeć duże widowisko, np. na zboczach wzgórz. Miało to poniekąd związek z ideą sztuki greckiej, głoszącej przyjaźń i zgodę z naturą. Spektakle zaczynały się o wschodzie słońca, a kończyły o jego zachodzie; odbywały się przez kilka dni z rzędu.

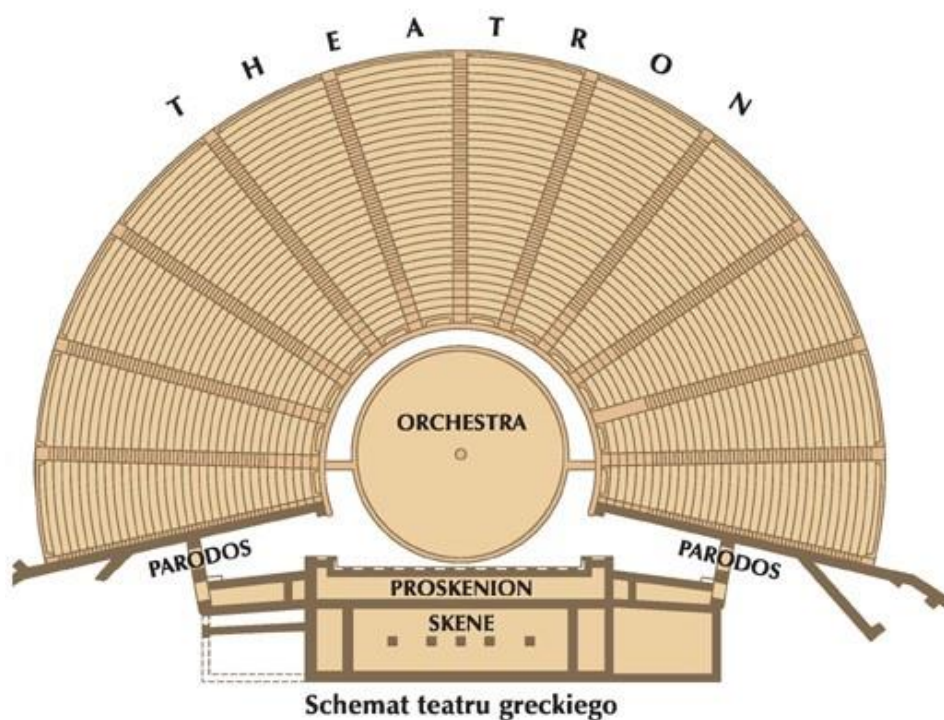
Miejsce, w którym odbywało się przedstawienie, nazywano **amfiteatrem**. Wyróżniano tam następujące elementy:

- **teatron** – miejsce dla publiczności,
- **orchestra** – miejsce dla chóru (okrągła powierzchnia amfiteatru),
- **proskenion** – nieszerokie prostokątne podwyższenie, na nim pokazywali się artyści (było to miejsce niezwykle krótkich spotkań chóru z aktorem),
- **skene** (gr. *skene* – 'buda') – budynek z pięknymi kolumnami, przypominał wyglądem świątynię lub pałac. Miał zwykle front z trzema parami drzwi, przez które wchodzili i wychodzili aktorzy.

Stanisław Ignacy Witkiewicz - pseudonim „Witkacy” – polski pisarz, malarz, filozof, dramaturg i fotografik. Data i miejsce urodzenia: 24 lutego 1885, Warszawa. Data i miejsce śmierci: 18 września 1939, Jezioro, Ukraina.

Antonin Artaud - francuski aktor, dramaturg, reżyser, pisarz, teoretyk teatru. Występował w 22 filmach, napisał 26 książek. Data i miejsce urodzenia: 4 września 1896, Marsylia, Francja. Data i miejsce śmierci: 4 marca 1948, Ivry-sur-Seine, Francja.





Marcelina Buczek, kl. VI „a”



Międzynarodowy Dzień Teatru

27 marca w naszej szkole obchodziliśmy Międzynarodowy Dzień Teatru. Święto to sprzyjało pokazom uczniowskich talentów, mieliśmy więc okazję zobaczyć przedstawienie „Z wizytą na Olimpie” przygotowane przez koło teatralne z klasy 6 „b” oraz projekt gimnazjalny „Teatrem jest życie, aktorem człowiek...” uczennic z klasy 2 „b” gimnazjum.

Oba pokazy wspaniale ukazały źródła teatru oraz jego historię.



KĄCIK SPORTOWY

Żużel

Co to w ogóle jest żużel?

Żużel są to wyścigi na specjalnych motorach (nie posiadają one skrzyni biegów ani hamulców!!) po torze kształtem zbliżonym do owalu. Na żużlu czterej zawodnicy ścigają się cztery okrążenia, zawsze w przeciwnym kierunku do wskazówek zegara, rozpoczynając ze startu wspólnego (startują spod specjalnej, białej taśmy podnoszonej na znak sędziego). Żużel jest najbardziej popularny w Polsce (mamy najprawdopodobniej najlepszą ligę żużlową świata), Wielkiej Brytanii, Danii, Rosji i Szwecji.



Historia żużla

Początki żużla sięgają XX wieku, kiedy to ścigano się na motocyklach drogowych po torach kolarskich, nawierzchniach trawiastych lub na torach do wyścigów chartów. Jednak za początek żużlu uważa się zawody motocyklowe na torze do wyścigów kłusaków w australijskim West Maitland, które odbyły się 15 grudnia 1923 roku. Do Europy żużel trafił w II połowie lat 20 XX wieku. Pierwsze zawody na nawierzchni żużlowej odbyły się 25 czerwca 1927 w Manchesterze.

W latach 30 XX wieku podobne zawody rozgrywano także w Polsce, używając zwykłych maszyn drogowych. Za pierwsze Indywidualne Mistrzostwa Polski uważa się zawody rozegrane w Mysłowicach 7 sierpnia 1932. Wtedy jednak obowiązywał podział na klasy ze względu na wielkość silnika. Podział na klasy i motocykle drogowe obowiązywał w Polsce do początku lat 40 XX wieku. Potem powstała regularna liga żużlowa w Polsce, a wraz z nią specjalnie przystosowane motocykle.

W żużlu istnieje kilka odmian, ale w tym artykule zajmuję się żużlem klasycznym.

Żużel w Polsce

Obecnie w Polsce istnieją trzy ligi żużlowe – Ekstraliga (najlepsza w Polsce), Polska Liga Żużlowa (II liga w Polsce) i Polska Liga Żużlowa II (III Liga Żużlowa w Polsce).

Żużel w Polsce jest dość popularnym sportem (obok piłki nożnej i siatkówki). Pod względem oglądalności wyprzedza nawet polską Ekstraklasę (najlepsza w Polsce liga piłki nożnej). Żużel jednak ma swoje ośrodki tylko w Wielkopolsce, na Ziemi Lubuskiej, Kujawach, w Małopolsce, na Śląsku i Podkarpaciu. Po za tym jest praktycznie nieznany.

Najbardziej utytułowanymi polskimi klubami są: Unia Leszno (27 medali, w tym 14 złotych), Polonia Bydgoszcz (25 medali w tym 7 złotych), Stal Gorzów (24 medale, w tym 9 złotych), Row Rybnik (23 medale, w tym 12 złotych).

Klub żużlowy w Krakowie – Wanda Kraków

W Krakowie istnieje jeden klub żużlowy o nazwie Wanda Kraków, który został założony w 1949 (sekcja żużlowa w 1957).

Wanda Kraków rozgrywa swoje żużlowe mecze przy ulicy Odmogile 1b w Krakowie, na swoim stadionie żużlowym (co ciekawe był to jeden z pierwszych stadionów, na których zainstalowano sztuczne oświetlenie).

Wanda Kraków jest aktualnie w I lidze i zajmuje miejsca w środku tabeli. Jeżeli chcecie znaleźć więcej informacji o Speedway Wandzie Kraków, polecam stronę internetową: speedwaywanda.pl

Szymon Szczęsny, kl .VI „a”





W świecie naszej wyobraźni...

Kącik literacki

Rodzinna Olimpiada

Rzecz to niesłychanie dziwna,
bo od Egipcjanina się zaczyna.
Chciał poślubić moją mamę,
więc wybrał się na Olimpiadę.
Mój tata nie był sam,
był także wytworny pan,
siłacz nad siłacze
i biegacz nad biegacze.
Wszyscy chcą rękę mamy
lecz dostanie ja wygrany.

Najpierw był rzut dyskiem
tata wygrał „z piskiem”.
Potem były rydwany,
Egipcjanin nie został pokonany.
Na sam koniec było bieganie
tata zwyciężył niespodziewanie,
więc dostał w nagrodę żonkę,
czyli piękną lwonkę
i domek, który się wygina
i tak powstała moja rodzina.

Tymoteusz Michałowski, kl. IV „a”



Wiersz 1.

W niedużym domku poza Krakowem
W swojej łazience chłop trzymał krowę.
W pokoju zrobił kurnik niemały,
A kormorany na strychu spały.

Kiedy nadchodzi pora karmienia,
Chłop nie żałuje swego jedzenia.
A gdy zwierzęta się już najedzą,
Spokojnie w swoich pokojach siedzą.

„A gdzie chłop mieszka?” Tak zapytacie.
Czy śpi w pokoju na karimacie?
Nie, on ma w kuchni łóżko nieduże,
A z okna widok jest na podwórze.

Choć w całym domu gwarno i ciasno,
On bez problemu potrafi zasnąć.

Wiersz 2

Był raz sobie mały domek,
W którym mieszkał duży Tomek.

Kiedy kichnął Tomasz raz,
Odpadł z dachu duży właz.

Gdy uderzył pięścią w stół,
Domek rozpadł się na pół.

Kiedy skleić domek chciał,
Odpadł dach i reszta ścian.

Więc rozpląkał Tomek się,
Zalał łzami całe wsie.

Taki morał z wiersza tego:
„Nie wchodź duży do małego”.

Dominik Saramak, kl. IV „a”



Lew i mądra sowa

Lew, władca pięknej krainy, pełnej zieleni i zwierząt, postanowił zaatakować sąsiednie królestwo. Zapytał o radę starą, mądrą sowę.

- Jeżeli wybuchnie wojna, królestwo upadnie, a głupiec poniesie klęskę – odpowiedziała.

Lew zadowolony z rady rozpoczął wojnę i przegrał. Jego królestwo zostało zniszczone, a on wygnany daleko, na pustynię. Tam cierpiał z powodu głodu i pragnienia, upału w dzień i zimna w nocy. Dokuczały mu też roje złośliwych much. Wtedy zrozumiał, że głupcem był on sam.

Gdyby lew był mądry, nadal żyłby w dobrobycie i panował jako król, bo prowadzenie wojny rzadko komu przynosi korzyści.

Julia Gąsiorowska kl. V „a”



ZIMORODEK I KUKUŁKA

Kukułka przyglądała się, jak zimorodek łowi ryby.

- Jak ty to robisz? – zapytała zdziwiona. – Dlaczego łowisz ryby, zamiast żywić się owadami, jak większość ptaków?

- Ryby to mój największy przysmak. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł jeść coś innego – odpowiedział zimorodek.

- Czy ja też mogłabym spróbować?

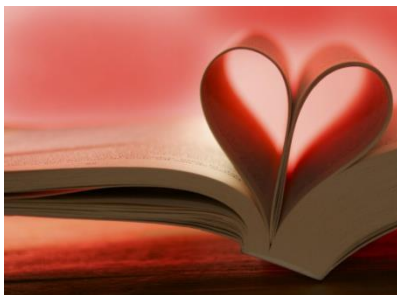
- Nie radziłbym ci. Nurkowanie nie jest dla kukulek.

Ale kukułka nie posłuchała mądrej rady zimorodka. Po kilku dniach zdecydowała, że odtąd będzie jadła ryby. Rozpędziła się, zanurkowała i złapała rybę dziobem. Chciała wypłynąć, ale poczuła, że coś wciąga ją pod wodę. Zaczęła rozpaczliwie machać skrzydłami, ale była za ciężka, żeby wypłynąć, ponieważ jej piórka nasiąknęły wodą i utonęła.

Nikt nie może na siłę zmienić swojej natury.

Marta Maciuszek, kl. V „a”

RODZINNE HISTORIE



Jak się poznali moi pradziadkowie?

Działo się to sto lat temu. Moja prababcia miała na imię Julia i była bardzo kapryśną królowną. Jej marzeniem było popłynięcie na drugi koniec świata i wyjście za mąż za jakiegoś pięknego księcia. Jej ojciec, król, mówił, że to marzenie nigdy się nie spełni. Gdy zmarł, królowna zebrała załogę i wypłynęła na pełne morze. Marzyła o pięknym księciu, którego niedługo spotka.

Płynął również z nimi najlepszy kucharz w całym królestwie, na którego Julia wcale nie zwracała uwagi. Kucharz miał na imię Karol. Już od dawna kochał królowną Julię. A ona traktowała go jak zwyczajnego sługę. Pewnego dnia zatrzymali się na dużej wyspie. Była ona piękna, ale niestety bezludna.

Królowna była bardzo zawiedziona, dlatego kucharz Karol, żeby ją pocieszyć, przygotował wyborną kolację. Po tej kolacji królownie Julii zrobiło się jakoś dziwnie. Zrozumiała, że zakochała się w kucharzu, nie wiadomo z jakiego powodu (czyżby przez żołądek trafił do jej serca?). Po kolacji odbył się wielki bal. Królowna zatańczyła z kucharzem. Wtedy on wyznał jej swoją miłość, a ona jemu. Następnego dnia pobraли się i żyli długo i szczęśliwie.

Zosia Nowosad kl. IV a

Jak poznała się Prababcia z Pradziadkiem?

Mój Pradziadek kowboj stary
Nosił grube okulary.
Lassem machać szybko, sprawnie,
Wyglądało to zabawnie.
Miał u pasa pistolety,
Nie używał ich niestety.

A Prababcia moja miła,

Chociaż wcale jej nie znałem,
To o wielkiej jej dobroci
Od mamy się dowiedziałem.

Była dobra, była miła,
Wszystkim ludziom pomagała;
Gdy pradziadek raz spadł z konia,
To mu nogę poskładała.

Babcia była z nim szczęśliwa.

Tak to wszystko się zaczęło,
Wtedy właśnie się poznali.
Nie upłynął miesiąc cały,
Gdy się w sobie zakochali.

Stanisław Szczechowicz, kl. IV „a”

Żyli długo i szczęśliwie,
Jak to często w bajkach bywa,
Dziadek nie był już kowbojem,



PIERWSZY DZIEŃ WIOSNY



Pierwszy dzień wiosny obchodzony jest w dniu równonocy wiosennej, który najczęściej przypada 21 marca lub dnia poprzedniego, lub następnego, w zależności od tego, gdzie prowadzi się obserwacje. W XX wieku wiosna w strefie czasowej Polski rozpoczynała się zwykle 21 marca, zaś w miarę przybliżania się końca stulecia coraz częściej 20 marca. W 2011 roku pierwszy dzień wiosny przypadł na 21 marca.

Za wiosnę klimatyczną przyjmuje się okres roku, w którym średnie dobowe temperatury powietrza wahają się pomiędzy 5 a 15°C. Zasadniczo wiosnę poprzedza zima, jednak pomiędzy tymi okresami znajduje się klimatyczny etap przejściowy – przedwiośnie.

Wiosna astronomiczna rozpoczyna się w momencie równonocy wiosennej i trwa do momentu przesilenia letniego, co w przybliżeniu oznacza na półkuli północnej okres pomiędzy 20 marca a 22 czerwca (czasami daty te wypadają dzień wcześniej lub dzień później, a w roku przestępnym mogą być dodatkowo cofnięte o jeden dzień).



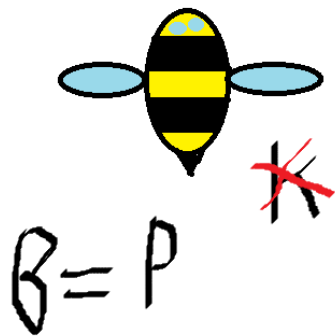
Stanisław Sierżęga, kl. IV „a”

Kącik rozrywki

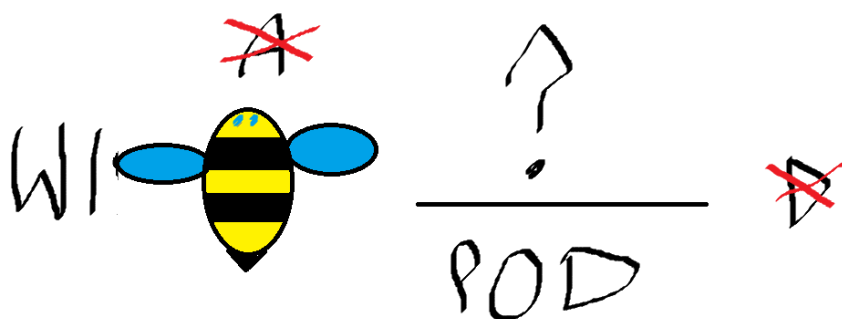
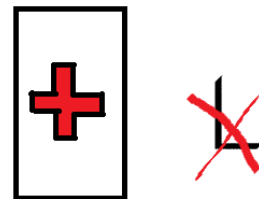
Zagadki geograficzne

1. Podaj 3 stolicy zaczynające się na literę „P” (muszą być one z Europy.)
 2. Kraj, w którym rosną bambusy.
 3. Państwo ze ssakami, które składają jaja.
 4. Vaduz jest stolicą tego państwa.
5. Niagara to:
- a) jezioro
 - b) wodospad
 - c) miasto
6. Największa wyspa na świecie to:
- a) Madagaskar
 - b) Kreta
 - c) Grenlandia

REBUSY



CZ



Czas na małe co nieco...

PROSTY TORT ŚMIETANOWY

Składniki na 1 blat biszkoptu (będą potrzebne 3):

1 jajko, 3 łyżki mąki pszennej, 1 łyżka mąki ziemniaczanej, 3 łyżki cukru, czerwony barwnik spożywczy, woda i sok z cytryny na poncz

Składniki na krem śmietankowy

Jajko ubijamy na sztywno z cukrem, im lepiej ubijamy jajka, tym ładniejszy i bardziej puszysty będzie biszkopt. W tym przepisie, podobnie jak w przepisie na **brownie**, nie dodajemy proszku do pieczenia, ciasto rośnie tylko dzięki pęcherzykom powietrza wtłoczonym do masy podczas ubijania. Biszkopt wprowadzić nie urośnie tak bardzo, jak w przepisach z proszkiem, ale też nie upadnie po wystudzeniu i będzie równiutki.



Do ubitych jajek dodajemy odrobinę czerwonego barwnika (lepiej za mało niż za dużo). Potrzebujemy upiec trzy blaty biszkoptu w trzech różnych odcieniach. Do zabarwienia ciasta użyłam barwnika w żelu – jest bardzo wydajny i naprawdę wystarczy dodać go tylko trochę. Mąkę pszenną i ziemniaczaną mieszamy dokładnie razem i przesiewamy do miseczki. Kiedy jajka są już dobrze ubite i wymieszane z barwnikiem, delikatnie mieszamy z nimi mąkę (najlepiej drucianą trzepaczką). Im mniej mieszania, tym lepiej. Ciasto przekładamy od razu do tortownicy wyłożonej papierem do pieczenia. Pieczemy 10-15 minut w piekarniku rozgrzanym na 160 stopni. Dobrze spoglądać na nie od czasu do czasu, kiedy brzegi będą się rumienić znaczy, że jest już gotowe.



Po wyciągnięciu z pieca zrzucamy biszkopt na blat z wysokości około 0,5 metra. Podobno dzięki temu nie opadnie – nie wiem tego na pewno, bo nigdy nie próbowałam nie rzucać. ;) Odstawiamy do ostudzenia.

Gotowe biszkopty dobrze jest poukładać sobie na osobnych kawałkach papieru do pieczenia, w ten sposób będzie łatwo je przekładać, nie będą się kruszyć i przyklejać do blatu. Blaty z biszkoptu nasączamy ponczem z wody i cytryny. Krem śmietankowy przygotowujemy według **przepisu**. Do dekoracji potrzebny będzie tylko dzióbek w kształcie zamkniętej gwiazdki – dzięki niemu łatwo zrobimy różyczki z kremu.



Na spodzie tortu kładziemy najciemniejszy blat.

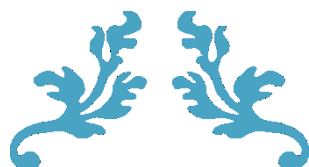
Smarujemy cieką warstwą kremu i przyklejamy kolejny. Cały tort pokrywamy cieką warstwą kremu, nie musi być równo, ważne tylko, żeby spod spodu nie wystawało ciasto. Zaczynając od dołu wyciskamy różyczki na tort.

Smacznego!



Marcelina Buczek, kl. VI „a”

UWAGA! DODATEK SPECJALNY!



SZKARŁATNE SZTANDARY

„Nie ma złych ludzi, są tylko złe decyzje.”



SPIS TREŚCI

- „Odrobina poświęcenia” Justyny Chomej
- „Mściwe serce” Joanny Krzeszowiak
- „Sięgnąć gwiazd” Magdaleny Leśniowskiej
- „Rzeczy, które robiliśmy z miłości” Joanny Radwańskiej

Odrobina poświęcenia

"Cicho, cicho dzieci. To nie demony, nie diabły... Gorzej. To ludzie."

Szczyty gór, błyszczące w sierpniowym świetle księżyca jak ostre zębiska, spowijała mleczna mgła. Snuła się jak duch, wypełniała powietrze zapachem deszczu i wiatru. Zamazywała krajobraz, oślepiała srebrną tarczą i panoszyła się bezkarnie, gdzie tylko się dało, wsadzając lepkie palce w każdą napotkaną szczelinę. Była wszędzie. A jednak i ona rozproszyła się i zrzedła, gdy w dolinie pod skałami dał się słyszeć huk i głośnie kroki tysięcy kopyt i obutych stóp, pieśń maszerującej armii. Z przestraczem uciekła z przesmyku, wzbiła się w zimne powietrze i skłębiła wokół potężnego jesionu rosnącego na jednym z niższych szczytów, korzeniami oplatającego niemal nagą skałę. Przyłgnęła do jego pnia. Błede, zimne palce uchwyciły szorstką korę i zacisnęły na niej, coraz mniej wyraźne, już niemal przezroczyste. Uniosła głowę, a jej puste oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej. Oto horda lśniących zbroi, czerwonych proporców i hełmów z baraniami rogami toczyła się przez skalne wyłomy. Ciepłe dłonie czyichś ojców, synów i braci ścisnęły w metalowych rękawicach pochodnie, ale blask ognia był nikły. Pył kłębił się pod obutymi stopami. A na czele pochodu posuwały się zakapturzone, okutane długimi ciemnymi płaszczami sylwetki dosiadające karych koni. Były owiane aurą mroku i tajemniczości, i tylko uważne oko mogło dostrzec pomiędzy fałdami okryć przebłyski rubinowych talizmanów, orderów Królewskiej Gwardii Kaptańskiej, szczepu Igni. Oni nigdy nie odsłaniali swoich twarzy. Ponury był to widok; zupełnie nowy dla młodej mgły, całkiem znany dla wieloletniego jesionu, którego gałęzie na kształt krogulczych szponów zwiesiły się smętnie nad otchłani. Wiedział, że już za kilka dni cichym przesmykiem między szczytami znów przejdą ludzie ze szkarłatnymi sztandarami, ale jeszcze więcej będzie przejeżdżało wiejskich wozów z podłużnymi pudłami z drewna. Wiedział, że te pudła potem spoczną w łonie ziemi. Wiedział, więc przygarbił się, i choć nie rozumiał, jego gałęzie opadały smutno, jakby czuły, że tak należy, że tak byłoby w porządku wobec drewnianych pudeł. Mgła nie wiedziała. Rodziła się w wietrze i żyła godzinę, dzień, kilka dni i umierała. Teraz poczuła, że znika, posłała jesionowi ostatni uśmiech i roztopiła się w srebrnej poświacie. Armia maszerowała dumnie, dostojnie. A stary jesion mocniej zacisnął korzenie i wychylił się, by lepiej widzieć; nie nazbyt. Nagi kamień, którego się trzymał, pod odpowiednim ciężarem runie, a potężne drzewo wraz z nim. Musiał uważać. Tylko wyprostował się i poruszył gałęziami z szelestem, żegnając chłodnym wzrokiem niknącą w mroku armię.

Nastał świt. Nastał zbyt wcześnie. Azrael, pośledni kapłan królestwa, przysiadł na kamieniu. Pozwolił kapturowi jego ciemnej szaty opaść i odsłonić ciemnorude loki. Spoglądał na niebo, rozświetlone krwawą łuną. Miasto płonęło. Ściana ognia pożerała łapczywie ludzi i cały dobytek. Każdy kamień każdego budynku opłacony był ich potem i krwią. A teraz płonął, bo byli tacy, których chciwość przelała się przez wszystkie granice. To na ich głowach spoczywał ciężar korony.

Każda głowa byłaby lepsza. Nawet ta odcięta.

Azrael poprawił płaszcz, na jego piersi błysnęła czerwień - order kapłana, który jako jedyny nie wierzył w ideę głoszoną przez króla.

Unióś głowę.

– Widzę cię – rozległ się jego niski głos, niesiony wiatrem. – Nie musisz się ukrywać. Już nigdy nie będziesz musiała. – Jego dłoń powędrowała ku piersi i zacisnęła się na pulsującym czerwieniu kamieniu. Nagłym ruchem zerwała go i odrzuciła w przepastną otchłani pomiędzy szczytami.

– Bardzo zabawne, Azraelu – dało się słyszeć spokojny, kobiecy głos. – Ruszajmy stąd. Armia niedługo wyruszy w drogę powrotną, a wtedy możemy nie mieć aż tyle szczęścia.

Kobieta również miała kręcone, ciemnorude włosy i liliowobłękitne tęczy, jednak zamiast płaszcza, posiadała na sobie powłóczyście, dworskie szaty. Choć były podarte w wielu miejscach i przybrudzone popiołem, wciąż wyglądała dostojnie.

– Wróć tu – oznajmił nagle kapłan, klepiąc dłonią w kolano. – Robią to za każdym razem – rzekł, a kąciki jego ust wygięły się w tak nieudolnej parodii uśmiechu, że było to niemal bolesne. – I za każdym razem zabierają więcej.

– Co więc proponujesz?

Stary jesion uniósł gałęzie, jakby również pragnął usłyszeć odpowiedź. Jakby chciał dowiedzieć się, że z tej matni jest jakieś wyjście. Że nie wszystko jeszcze stracone.

– Z tej matni nie ma wyjścia, wszystko stracone. Jedyne, co moglibyśmy zrobić, to odciąć im drogę przez przesmyk – wskazał dłonią przejście pomiędzy górami.

Kobieta przygarbiła się lekko, zadrżała, ale jej zaciśnięte usta pokazywały, że nie zamierza się poddać. Schyliła lekko głowę i szepnęła cicho:

– Niech bogowie mają twoją duszę w opiece.

Azrael zerwał się nagle, doskoczył do niej i chwycił za ramiona.

– Otrząśnij się! – krzyknął. – Bogów nie ma! Najwyżej za tydzień oni wrócą, po królestwie w którym żyliśmy nie zostanie kamień na kamieniu, nic prócz ognia i popiołu! Czyż jesteś ślepa? Przejrzyj na oczy! Jeśli istnieje jakokolwiek siła, jest przeciwko nam i pragnie naszej śmierci!

Jego warga zadrżała. Opadł powoli na ziemię i ukrył twarz w dłoniach. – Kapłani dzielą się na szczepy. Widzisz ich? Tych, co idą? Idą do króla, aby go wesprzeć. A za nimi pożoga i śmierć. Nasi bogowie są bezradni.

Kobieta wlepiła weń spojrzenie zimnych oczu.

– Jesteś wszakże kapłanem, czy powinieneś mówić takie rzeczy?

– Nikim już nie jestem – powiedział z goryczą, nie patrząc na kobietę więcej. Siły opuściły go.

– I ty także, siostró.

Zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Jak uważasz.

Po czym odwróciła się i odeszła, powłócząc białymi szatami. Azrael oparł głowę o pień jesionu i westchnął słabo, wlepiając rozszerzone oczy w tarczę krwawego, wschodzącego słońca. Drzewo zaszumiło liśćmi. Nie nawykło do towarzystwa, zwłaszcza ludzkiego. Było mu ono całkowicie obce. Wyciągnęło delikatnie jedną gałązkę i zbliżyło ją, zaciekawione, do bujnej rudej czupryny siedzącego pod nim Azraela. Wstrzymało oddech.

– Dobrze sobie radzisz z kobietami – dało się słyszeć tubalny głos za nim. Kapłan odwrócił się gwałtownie w stronę zbliżającego się mężczyzny. Stwierdzenie, iż człowiek, którego ujrzał, był gruby, byłoby eufemizmem. Apogeum tłuszczy wręcz wylewało się z jego szat, siwa broda sięgała pasa, a oczy ledwie było widać zza wałków pomarszczonej skóry. – Zaprzyjaźniłeś się z drzewem?

Azrael uniósł brwi, by dać wyraz zdumieniu... i dopiero wtedy spostrzegł, że kilka drzewnych witek wplątało się w jego loki. Nerwowym ruchem odgarnął je.

– Kim jesteś? – zapytał sucho. – Wyglądasz znajomo...

– Czarodziejem z waszego miasta, mości kapłanie. Zwią mnie Acidus Malae. Dwa miesiące temu ściąłeś mi głowę za głoszenie herezji przeciw waszym bożkom – odpowiedział usłużnie starzec, w zamyśleniu gładząc dłonią długą brodę. – Rozumiesz jednak, iż było to bezcelowe.

– Oczywiście. Daruj tę nieuprzejmość – powiedział zrezygnowany Azrael, machnąwszy dłonią, byle tylko zbyć natręta. Nie interesowały go jego słowa. – I odejść już. Chcę zostać sam.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić. Twoje, a także moje rodzinne królestwo padło ofiarą najeźdźców, którzy, jeśli nic się nie zmieni, za każdym zdobytym miastem będą szli tą drogą dalej i dalej, nie zaprzestając rzezi i grabieży.

– Wydaje ci się, że możesz temu zapobiec?

– Mag ma posłuch u królów.

Azrael zmrużył oczy.

– Czy nie rozumiesz, co władza robi z człowiekiem? Jak ostrzy apetyt, jak wyciska umysł do utraty zdrowych soków? Jak zagłusza rozsądek swoimi żądaniami, ogniem pragnienia? Gdy raz jej skosztujesz, chcesz tylko więcej. Jesteś głodny, ale nigdy się nie nasycisz, spragniony, ale wino jest dla ciebie trucizną. To życie jest trudne i okrutne, a jednak każdy pożąda go dla sławy, sług, batystu i adamaszków.

– Do czego ty zmierzasz? – Rudowłosa kobieta – Tenreira – przysunęła się do nich i położyła dłoń na ramieniu ukochanego brata, okutanym w skóry, rzemienie i czarny atłas.

– Nie wysłucha nikogo, bo dyskutuje wciąż z samym sobą. Czyni jedynie okrucieństwo. Obnażył miecz, cisnął światu rękawicę w twarz.

– A czego ty chcesz?

– Spuścić w dół to drzewo – powiedział kapitan i zacisnął wargi, aż zbieleły.

Kobieta powiodła wzrokiem po linii jego spojrzenia. Jesion smutno zaszumiał gałęziami, zacisnął je, jakby pięści...

Armia nie pokonała połowy wąwozu. Mieli czas. Mieli wybór.

– Zabić ich, zabić ich wszystkich – powiedziała cicho, oczy rozszerzyły się jej mrocznie. – Kapitanów. Mieszczan ze sztyletami, chłopaków z kosami. Ja wielu z nich znam po imieniu. Oni tylko wykonują rozkazy.

– Nie są dość silni, by się im przeciwstawić. Jeśli zginą, nie spłonie miasto, nie zginą cywile, nie zginie zbrojownia Viride... Chcę wybrać mniejsze zło. Zrobmy to, Tenreiro. Zrób to dla mnie...

Czerwień błyskała w słońcu. Była kilkoma setkami świetlnych punkcików, mnogich jak oczy ważki, lśniących jaśniej od iskier.

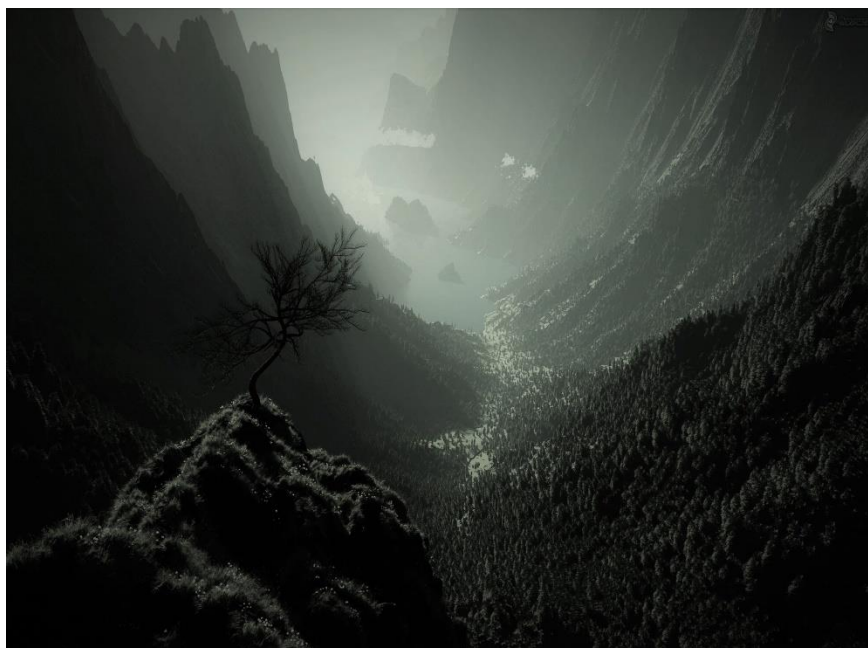
Liliowe oczy wypełniły się łzami, drżały jak płatki kwiatu. Kocha, nie kocha, kocha...

Stoczenie kamienia nie trwało długo. Ułożyli na nim dłonie, pchnęli silnie, poruszyli, spuścili. Potężny jesion rosnący na szczycie góry, korzeniami oplatający nagą skałę, zwrócił wszystkie swoje gałęzie ku słońcu, by kolejna rodząca się mgła mogła z uśmiechem obejrzeć pączki młodych liści kwitnące na nich. Wygiął pień w łuk, widział, jak maszeruje armia z czerwonymi sztandarami, tym razem zwieszonymi. Wracała po udanym boju, nasycona krwią. Dłonie w metalowych rękawicach nie ścisnęły już pochodni, lecz cugle zdobytych koni ciągnących złupione wozy z drogimi towarami. Za sobą zostawiały pożogę i śmierć. A jesion patrzył na tych ludzi, dla niego małych jak mrówki, spacerujących w otchłani, przesmyku pomiędzy łańcuchami gór. Objął mocniej swój kamień, przechylił... Skała skruszyła kilka mniejszych odłamków, oderwała od zbocza szczytu i zaczęła spadać, z łoskotem obijając się o inne wzniesienia, uwalniając okrucieństwa kamieni i ciągnąc je za sobą w dół. Łoskot pędzącej lawiny rozbrzmiewał echem po górach, czerwona armia zaczęła uciekać z przerażeniem, ale była bezsilna wobec miazdzącej potęgi łańcucha potężnych skał. Jesion zamknął oczy, stulił gałęzie i uderzył o twarde podłoże. Zaraz potem, kamieniem po kamieniu, lawina pożarła całe światło, które dotąd widział codziennie. Zastawiła go w całkowitej ciemności. Uwięziła w skalnym grobie drzewo, ludzi, ich konie, złupione wozy.

Mniejsze zło. Czym jest?

Istnieje!

Istnieje...



Mściwe serce

„Prawdziwy żołnierz walczy nie dlatego, że nienawidzi tego co przed nim, ale dlatego że kocha to, co za nim”

Niebo tej nocy było wyjątkowo gwieździste. Deszcz lekko siąpił, na dworze panowała przejmująca cisza i ciemność ogarniająca wszystko. Szhkanakin nie mógł spać, więc leżał na wilgotnej ziemi pod gołym niebem z rękami założonymi za głowę i obserwował czerwoną łunę ogarniającą trzecią część nieba. Chociaż był bardzo odważnym, muskularnym, wysokim, młodym, liczącym szesnasty rok życia kawalerem, niczego się nie bał. Jednak tej nocy ogarnął go ogromny niepokój. Ujawniły się jego jeszcze słabe, młodzieńcze cechy. W samotności poczuł, jaki jest tak naprawdę słaby, jak bardzo przerażony. Przecież zjawisko czerwonej łuny we wsi, w której mieszkał nie było niczym nadzwyczajnym, przecież co noc je obserwował. Jednak im bardziej wpatrywał się w łunę, odczuwał jakby ktoś zbliżał się do niego, miał wrażenie, że blask tej nocy jest inny, przybrał kolor krwi i coraz bardziej się powiększa, aby wchłonąć go w bezkresy wszechświata. Nagle Szhkanakin poczuł mdłości, w jednej chwili ogarnęła go senność, wiatr wiejący z Wilczego Lasu przeszywał go do kości, z Zachodniego Boru zaczęły dochodzić piski z tak dużą częstotliwością, że liście z drzew poczęły spadać. Młodzieniec musiał zatkać uszy, bo inaczej straciłby słuch. Leżał na trawie, zmęczenie tak szybko go opuściło, jak dopadło. W momencie zerwał się na równe nogi. Mimo, iż nie wiedział, co się dzieje, to był pewien, że musi w tej chwili uciekać. Od wsi dzieliły go dwie mile w linii prostej. Miał dwa wyjścia: albo schować się w Zachodnim Borze, albo uciekać do wsi. Dreszcze przeszły mu po karku, pot kapał z jego twarzy.

– Co robić? – pomyślał.

Nie miał dużo czasu na przemyślenia, słysząc już było tętent koni. Od lasu dzieliło go pół mili. Serce zaczęło mocniej bić, jakby chciało zaraz wyskoczyć. Umysł nakazywał biec do wsi i ostrzec wszystkich. Szhkanakin miał rozdarte myśli. Fala zagłady zbliżała się, ziemia już się trzęsła. Młodzieniec mimo rad umysłu i ogarniającego go przerażenia zaczął biec w stronę boru. Im bliżej się znajdował, tym bardziej było mu słabo, przypominał sobie opowieści starych gaździn na temat tego miejsca. Chodziły legendy, że bór jest siedzibą Hadesu, że nawet sama Śmierć stoi u wrót swojego królestwa i gdy tylko ktoś się zbliży, zostaje złapany i torturowany, a na końcu zabijany. Na samą myśl Szhkanakinowi włosy stanęły dęba. Zatrzymał się. Od lasu dzieliła go już tylko jedna czwarta mili. Zamknął oczy, starał się przezwyciężyć swój strach. Po chwili, gdy się już trochę uspokoił, chciał ruszyć dalej. Zrobił jeden krok i zmroziło go, poczuł mrok ogarniający jego całe ciało. Tuż za sobą wyczuł oddech konia. Obrócił się i ujrzał czarnych jeźdźców o czerwonych oczach. Był tak przerażony, że nie mógł się ruszyć. Stał i słyszał tylko szyderczy śmiech, który echem odbijał się od wszystkich drzew na około. Poczuł kręcenie w brzuchu, krew uderzyła mu do głowy.

– Przecież słyszałem o nich – przypomniał sobie. Obrócił głowę i wlepił spojrzenie w pierwszego jeźdźcę, którego zobaczył.

– Nie wierzyłem w wasze istnienie, przecież to wy, Kapłani! – ukierunkował swoje myśli w stronę jeźdźców. Wtem dał się słyszeć jeszcze głośniejszy śmiech, śmiech, który brzmiał jak pisk, przeszywał do szpiku kości.

– Istniejemy, jednak istniejemy! – dała się słyszeć odpowiedź.

– Rozumiej – uświadomił sobie Szhkanakin – Rozumiej bez słów, słyszaj myśli.

– Teraz jest już za późno – przez szyderczy śmiech dało się słyszeć głosy. – Za późno, za późno.

Młodzieniec nie pojmował tego. Dopiero, gdy usłyszał krzyki dobiegające z jego wsi, uświadomił sobie, co się stało. Teraz nareszcie zrozumiał. Łzy zaczęły spływać mu po policzkach. Czuł strach, złość, nienawiść. Nie wiedział co robić. Jego świat zaczął się walić. Chciał uciekać. Jednak nie

zdążył postawić nawet kroku, gdy poczuł jak żelazna ręka zaciska się na jego szyi. W jednej chwili krew odpłynęła mu do mózgu. Znow poczuł strach.

– To już koniec – pomyślał zrezygnowany.

– Nie dla ciebie – usłyszał za swoimi plecami – bynajmniej.

Ręka zwolniła swój żelazny uścisk. Szhkanakin zaczerpnął powietrza, którego jeszcze chwilę temu mu brakowało, docenił jego wartość. Obrócić się i ujrzał muskularnego mężczyznę siedzącego na szarym koniu. Był w zbroi. Hełm miał nałożony na twarz. Szhkanakin przyglądał mu się w nadziei, że może uda mu się dostrzec, kto sieje to spustoszenie. Jeździec najwyraźniej zrozumiał spojrzenie Szhkanakina, bo zdjął hełm.

– Teraz już wiesz? – zapytał złośliwie. Wiedział, że Szhkanakin i tak nie ujrzy jego twarzy, bo stał tyłem do słońca. Młodzieńca w jednej chwili ogarnęła potężna wściekłość. Podniósł pierwszy lepszy kamień, który leżała na ziemi i z wielkim impetem rzucił w jeźdźcę. Dało się tylko słyszeć głuchy dźwięk odłamka, który odbił się tylko od zbroi i wrócił pod nogi Szhkanakina. Młodzieńca ogarnął strach. Kopnął kamień i zaczął uciekać.

– Gdzie ci tak spieszo? – usłyszał.

Nie pokonał zbyt długiej drogi, bo przejście zastąpił mu jeden z kapłanów. Szhkanakin wywrócił się. Upadł na kamień, którym sam chciał ugodzić jeźdźcę. Ostra krawędź wbiła mu się w skórę raniąc go do krwi. Młodzieniec tylko jęknął z bólu, bo czuł, jak rana postępuje.

– Koniec tej zabawy – ryknął ktoś z tyłu i pochwycił młodzieńca za koszulę. – Idziesz z nami. TERAZ – dodał jeszcze głośniejszym głosem. Podniósł go i posadził na koniu razem z sobą. Wtedy dopiero Szhkanakin poznał w jeźdźcu lorda Huang–Ho. Przynajmniej tak mu się wydawało. Nie był świadomy tylko, jak bardzo się myli. W momencie poblady. Lord Huang–Ho uchodził w królestwie za tyrana, który wybijał w pień niewinnych ludzi i miał za sobą armie czarnych jeźdźców – zielonych kapłanów szczepu Viride.

– Ruszamy – krzyknął lord.

W jednej chwili jeźdźcy ruszyli z takim piskiem, że Szhkanakin na moment stracił słuch. Końskie kopyta rwały ziemię, wzniewały tumany kurzu. Za nim na samym końcu ruszył lord z Szhkanakinem, który jęczał z bólu. Kapłani pędzili niczym wilki biegnące szturmem na stado baranków, prosto do wsi. Była tylko jedna zasadnicza różnica: wszystkie baranki miały zginąć, nie tylko najsłabsze. Gnali tak szybko, że Szhkanakin, który nie był przyzwyczajony do takiego pędu, zaczął dusić się własną krwią. Przed bramami wsi zatrzymali się tak raptownie, że młodzieniec spadł z konia na tę otwartą ranę. Upadł w sam środek bramy, podniósł głowę i ujrzał garstkę ludzi uciekających przed jeźdźcami, którzy wyśmiewali ich szyderczo. Cywile nie mieli już gdzie się chować, bo cała wieś płonęła, a ucieczka z niej również nie była najlepszym pomysłem, ponieważ wioska była otoczona ze wszystkich stron kapłanami, którzy tylko czekali na takie ofiary. Szhkanakin poczuł spływające po swoich policzkach łzy.

– Nie chcę być taki, nie chcę! – wykrztusił, szlochając.

– A chcesz zwalczać jeźdźców? – zaśmiał się szyderczo lord. – Nie będziesz, nie martw się. Zabijesz tych ludzi, a jeźdźców wraz z tobą pochłonie Hades. Ich chwilowo, ciebie na zawsze. – ryknął lord, wskazując na kapłanów i szturchając młodzieńca. Na jego twarzy zaczął malować się cyniczny uśmiech. Wtem rozległ się pisk. Jeźdźcy powrócili z łowów. Szhkanakin zobaczył, że już nikt nie ostał się żywy we wsi, wszystko płonęło, domy i zakrwawione ciała pochłaniał ogień. Czarni jeźdźcy załopotali swoimi płaszczami i z przerażającym wrzaskiem ruszyli w stronę boru, w którym Hades już

czekał na nich z otwartymi ramionami. Mieli jeszcze powrócić, bo byli wysłannikami samej Śmierci, lecz nikt o tym nie wiedział, a przynajmniej Szhanakin. Młodzieniec w ciągłym szoku i smutku leżał na ziemi i obserwował strumień krwi, który spływał wprost na niego. Nagle ta sama żelazna ręka lorda pochwyciła go i z powrotem rzuciła na konia. Huang–Ho pociągnął za lejce, koń się obrócił i ruszył powoli w stronę zamku. Wszystkie drzewa po drodze szumiały żałośnie, niektóre zasłaniały nawet swoje oblicza, aby nikt nie widział ich łez. Młodzieniec tylko patrzył za siebie na płonącą wieś. Teraz dopiero łuna się dopełniła i zajęła całe niebo. Było krótko po północy, więc doskonale było widać szkarłatne niebo. Szhanakin miał mieszane uczucia. Nie wiedział co się z nim dzieje. Ogarnęła go senność.

Przecież właśnie straciłem dobytek i rodzinę, przeszło mu przez głowę. Dalej nic już nie zdążył pomyśleć, bo jego oczy zamknęły się i zasnął. Lord najwyraźniej zrozumiał jego myśli, nie chciał, żeby poznał prawdę.

Szhanakin obudził się w zamku w towarzystwie lorda Marinius, który był wiekowym mężczyzną. Nosił przy sobie miecz, był muskularny i podszył się dzień wcześniej pod lorda Huang–Ho, o czym Szhanakin nie wiedział. Podobnie jak o fakcie, że od początku wojny to on pociągał za wszystkie sznurki.

– Co się dzieje, gdzie ja jestem? – krzyknął zrozpaczony młodzieniec. – Zabiję, nienawidzę cię! – rzucił się z pięściami na lorda.

Z wzajemnością, pomyślał lord.

– Spokojnie – powiedział do młodzieńca, który prawie go uderzył – Nie jestem Huang–Ho; wczoraj, gdy spałeś na koniu lorda, armia królewska cię odbiła, a z lordem zrobiliśmy porządek – uśmiechnął się szyderczo Marinius.

– Pomszczę moją rodzinę – ryczał Szhanakin.

– Pomożemy ci w tym, posłużysz w armii króla. Akurat brakuje nam niższego dowódcy. Będziesz zabijał poddanych i żołnierzy lorda Huang–Ho, przez którego rozpętała się ta wojna – oznajmił Marinius. – Jak odpowiesz na złożoną ci propozycję?

– Zgadzam się – odpowiedział bez chwili namysłu Szhanakin. Złość w nim aż kipiała.

– Zaczнешь szkolenie na żołnierza. Przygotuj się – powiedział oziębło lord i wyszedł.

Młodzieniec spóźnił się kilka minut już na pierwsze zajęcia i na samym początku dostał za to dziesięć batów. Kolejne ćwiczenia też niezbyt dobrze mu wychodziły, więc dostawał kolejne kary. Musiał chodzić po pięć wiader wody, wychodzić na trzymetrowe słupy. Szhanakin musiał również przechodzić ćwiczenia wytrzymałościowe, na przetrwanie. Tak spędził następne dwa lata życia. Nawet, gdy mu nie wychodziło to nie zrażał się, bo cały czas chciał się zemścić na oprawcach swojej rodziny i przyjaciół. Po dwóch latach ciężkiej pracy złożył przysięgę żołnierską. Pewnego dnia w drodze do stajni królewskich wpadła na niego dziewczyna. Od razu się w niej zakochał, a ona w nim. Od tego momentu młodzieniec zaniedbywał swoje obowiązki wobec armii, bo cały czas szukał sposobności, aby spotkać się z Samsarą; tak bowiem miała na imię jego luba. Była niska, szczupła, miała brązowe oczy, w których można było dostrzec niekończącą się głębię. Dziewczyna była młodszą od Szhanakina o cztery lata jednak to nie była dla niego przeszkoda, bynajmniej. Całej tej sytuacji z boku przyglądał się lord Marinius. Któregoś dnia oznajmił młodzieńcowi że już jest gotowy i może wyjeżdżać na front. Szhanakin opierał się, lecz z lordem nie było dyskusji. Sam nawet przyspieszał wyprawę, gdy przypominał sobie o zemście. W dniu eskapady chciał ostatni raz spojrzeć na Samsarę, ale nigdzie jej nie było, chciał się pożegnać, ale nie widział jej. Podjął decyzję;

– W imię bogów, wyjeżdżamy.

Cały oddział wyruszył za nim, dźwigając szkarłatne sztandary, falujące delikatnie, jakby blask odbitego ognia. Trzy dni i trzy noce jechali bez ustanku. Na ich drodze nie było żywego ducha. Słyszeli tylko rozmowy drzew i zwierząt. Wszystko schodziło im z drogi, nawet mgła ustępowała im miejsca. Siali grozę i spustoszenie. Za ich plecami zostawały tylko spalone wioski, ciała ludzi. Czasem nie zabijali wszystkich, tylko zostawiali wciąż żywych rannych na pastwę ognia, który pochłaniał ich bezlitośnie. Cały czas towarzyszył im Hades ze swoją armią. Wił się po lasach jak żmija szukająca ofiary, kogoś, kto po raz ostatni ujrzałby krwiste czerwone słońce, poczułby zapach świeżej posoki, którym przesiąknął cały znany dotychczas świat. Szhkanakin stracił zupełnie uczucia, kierował się tylko nienawiścią, ogarnęła go całkowita znieczulica, chciał zemsty, zapachu ludzkiej krwi. Chciał słyszeć jęki i wrzaski umierających wieśniaków, widzieć, jak wszystko przed nim ustępuje, iść po czerwonym dywanie przygotowywanym przez maga i kapłanów. Zupełnie zapomniał o Samsarze. Chciał więcej i więcej zemsty, krwi, strachu i grozy. Stracił całkowicie swoje człowieczeństwo. Pewnej gwiazdzistej nocy stanęli na wzgórzu, tak, że widzieli całe miasto pogrążone we śnie. Miasto to leżało u podnóża góry. Na jej szczycie majaczyły zarysy samotnego jesionu. Szhkanakin już miał wydać rozkaz, gdy pod kopytami konia zobaczył laleczkę. Zawahał się. Przez myśli przemknęło mu, że w mieście tym są niewinni ludzie. Coś musiało nie grać. Coś się nie zgadzało.

– Masz rację – usłyszał głos za sobą; popatrzył i ujrzał Samsarę – Jesteś cały czas okłamywany, co ty robisz? Takiego cię nie znałam, kogo oszukujesz?

Zaczęła do niego docierać rzeczywistość. Poczuł uderzenie w brzuch, zobaczył błysk smutku w oczach pełnych miłości. Młodzieniec aż z bólu przewrócił się. Zaczął krztusić się krwią.

– Głupcze! Wydaj rozkaz, to przez nich twoja rodzina nie żyje! Zabij ich, ZABIJ! – usłyszał głosy.

– Nie rób tego – błagała dziewczyna – Będziesz żałował...

– Nie słuchaj jej! Bogowie chcą zemsty! Pomścij swój ból!

Tak, przemknęło mu przez myśl. Odepchnął Samsarę tak, że upadła na ziemię, a sam obrócił się w stronę chorągwi i wydał rozkaz wybić wszystkich w pień, bez wyjątków. W momencie, w którym wypowiedział rozkaz rozległ się wielki krzyk i armia ruszyła na rzeź. Szhkanakin chciał wsiąść na konia, ale rana krwawiła cały czas i nie dał rady. Wtedy podeszła do niego dziewczyna, która zdążyła dojść do siebie po upadku. Oderwała kawałek materiału ze swojej bluzki i obwiązała brzuch młodzieńca.

– Jaka ulga – westchnął Szhkanakin. – Dziękuję. – Zgłupiał. Teraz uświadomił sobie, że Samsary powinno nie być z nim na wojnie.

– Co ty tu robisz? – wykrzyknął przerażony młodzieniec.

– Przebrałam się za żołnierza, aby iść z tobą walczyć. Zrozumiałam że zabijamy niewinnych ludzi. To nie ich wina słyszałam rozmowę lorda z magiem i mówili że ta sytuacja jest...

– Nie denerwuj mnie – krzyknął Szhkanakin – wróć do domu.

– Jeszcze masz czas Szhkanakinie, odwołaj – błagała dziewczyna. Młodzieniec ruszył do boju. Wysłał jakiegoś żołnierza, aby ten bezpiecznie doprowadził Samsarę do domu, a sam zabrał się za zabijanie ludzi. Nie wychodziło mu to, bo nie mógł się skupić. Przez myśli cały czas przemykały mu słowa Samsary: "Odwołaj to, bo będziesz żałował". Przecież zabijam złoczyńców w imię króla, pomyślał Szhkanakin. Niech opuszczą mnie szpetne myśli.

Chwycił miecz, ze zgrzytem wysunął go z pochwy i z krzykiem wmieszał się w rozgorzały ogień bój. Krew bryzgała soczyscie spod klingi, padali pod nią zieloni kapłani, kobiety, kilkuletnie

dzieci, których matki nie zdążyły zabrać, starcy. Nikt na drodze armii króla nie ocalał się żywy. Żołnierze bezlitośnie zabijali przerażonych ludzi, wywlekali ich z domu. Nie zwracali uwagi na prośby, błagania, siali spustoszenie. Ludzie w popłochu uciekali, potykali się o siebie, a potem ginęli w tumanach kurzu. Armia króla przechodziła przez miasto jak fala zniszczenia, grabiąc i niszcząc wszystko co stało na jej drodze. „Taka jest kara za zdradę króla” huczał ktoś. Najpierw żołnierze wynosili kosztowności z domów, a potem podpalali domostwa razem z mieszkańcami. Ludzie biegnący po ulicy od razu byli na przegranej pozycji, zostali zdeptywani przez konie, lub ginęli od miecza żołnierzy. W pewnej chwili wioska zamarła. Ostatni mieszkaniec został stracony.

Wtedy, gdy pierś zalała mu się krwią, gdy dyszał ciężko, wodził roziskrzonym spojrzeniem po nagich trupach – zwątpił.

Czy słusznie postąpił, służąc królowi? Czy miał prawo decydować o losach ludzkich, życiu lub śmierci?

Kolumna wojowników, lśniących królewskimi oznakami, czerwonymi jak wschodzące słońce, przesuwała się wąwozem. Szhkanakin znowu zaczął odczuwać ból. Skrzywił się i przysunął ręce do brzucha. Rana krwawiła. Czerwona stróżka lepkiego płynu spływała po rękach młodzieńca. Poczł mdłości. Świat zaczął wirować mu przed oczami, zakaszła krwią, podniósł głowę, by zaczerpnąć powietrza. Maszerujący żołnierze roztrącali go na boki. Stary jesion na szczycie wąwozu chwiał się...

Nagle na gałązki zasiadł słowik i zaśpiewał żalosną pieśń. Wtem drzewo zatrzeszczało, korzenie zacisnęły się na kamieniu, szarpane siłą grawitacji, runęło, za sobą pociągając orszak coraz większych głazów. Wojownicy zaczęli krzyczeć nerwowo, puścili się w przód, ale nie mieli szans wygrać z siłami natury, czas okazał się dla nich zgubny, nie mieli go, dla nich stanął.

Szhkanakin na oślep zakrył dłonią twarz, gdy poczuł dotyk skalnych odprysków na skórze. Twarde bryły na zawsze uwięziły ich w skalnym grobie. Szhkanakin po raz ostatni zaczerpnął oddechu powietrza, po raz ostatni ujrzał krwawiące słońce i zasnął wiecznym snem.

Bładym świtem, niebo wciąż spowijała mgła, rozpanoszyła się bezkarnie. Zająła każdy zakamarek, każdą szparę, mroziła swoim gorzkim oddechem. To co dotknęła swoją wilgotną dłonią, zajmowało się rosą.

Wtedy właśnie Samsara przechadzała się po spustoszonej wsi. Ogień dogasał, dym mieszał się z mgłą, tworząc szarą chmurę. Szła. Stanęła na krawędzi wzgórza, w rękach ścisnęła trzonek przypalonego i zbrukanego krwią ludzką szkarłatnego sztandaru. Zimny północny wicher rozwiewał jej włosy, falowały niczym babie lato tchnięte podmuchem wiatru. Spojrzała w dół, po zmrożonych policzkach spływały jej łzy. Małe kropelki, przypominające diamenty. Rozluźniła uścisk pięści, z jej rąk wysunął się sztandar. Czerwona chorągiew, migocząc, opadła na kamienie. Dziewczyna zamknęła oczy, już nie płakała, zrozumiała, że Szhkanakina pochłoneła ciemność, którą on pochłaniał niewinnych ludzi. Pochłoniął ho Hades w bezkresach ciemności oceanu wszechświata.



Sięgnąć gwiazd

"Wyobraźnia jest jedyną bronią w wojnie przeciwko rzeczywistości"

W miasteczku nie było bardziej pokracznej budowli od wysokiej wieży, która stała na szczycie klifu, majaczącej z oddali. Znajdowała się tam niegdyś warownia, lecz po jej zburzeniu pozostała tylko ta nieszczęsna, krzywa wieża, będąca osobliwością nadmorskiej miejscowości. Przyjezdni dziwili się, jaki szaleniec był w stanie zbudować coś tak wstrętnego, zaś tutejsi spoglądali na nią raczej z politowaniem, bowiem w ich mniemaniu prawdziwy szaleniec ją zamieszkiwał. Mówiono o nim "Mały" z powodu niskiego wzrostu i wielkich ambicji, których nieduża głowa fizycznie nie byłaby w stanie pomieścić. Mały miał tak naprawdę na imię Savas, co oznaczało "wojna". Poruszał się powoli, nigdy się nie spieszył, był wiecznie zamyślony i nieuważny. Chodził, można by rzec, z głową w chmurach, na nikogo nie patrzył poważnie, nie dziw więc, że we wczesnej młodości był obiektem kpin rówieśników. Jednak lata mijały, koledzy dorośli, znaleźli sobie żony, założyli rodziny i zaczęli zarabiać na życie jako rybacy, rzemieślnicy i rolnicy, a Mały został sam ze swoimi myślami. Po śmierci rodziców osiadł w samotnej wieży, zaczął pracować nad projektem, który jako jedyny nadawał sens jego życiu. Otóż młodzieniec chciał wzbić się w powietrze, pragnął latać.

– Jeszcze oderwę wasze stopy od ziemi – mówił do mieszczan. – Wierzę, że ludzie stworzeni są do wielkich rzeczy.

Słyszac te słowa ludzie pukali się w głowy i odchodzili od Małego. Jego to bynajmniej nie zrażało – pragnął udowodnić światu, że jego poglądy są słuszne. Tak więc od lat, zamknięty w zgłiszczach warowni, szkicował modele, kreślił linie na kartkach i konstruował coraz to zgrabniejsze maszyny. Koniec końców słuch o Savasie niemalże zaginął; gdy czasem wychodził do miasteczka po chleb, poznawała go jedynie garstka osób. Lecz on wiedział, że gdy pewnego dnia na skonstruowanych przez siebie skrzydłach wzbi się w powietrze, upodabniając się do ptaka, ludzie ujrzą go i zapytają samych siebie: "Czy to ten dziwak, Mały?". To sprawiało, że marzyciel nie miał zamiaru się poddać.

Czas mijał, a maszyna wciąż nie była gotowa. Kiedy młodzieniec liczył dwadzieścia jeden wiosen, a kraj przygotowywał się właśnie do srogiej zimy, do uszu prostej ludności z niewielkiego miasteczka doszły niepokojące wieści. Oto król Tamiel wszczął wojnę z kapłanami szczepu Viride. Wiadomość ta wzbudziła trwogę, która cichaczem wkradła się do serc rodaków, pomijając, wręcz nie zauważając Małego, który był zbyt pochłonięty marzeniami o lataniu. Gdy któregoś dnia skromna staruszka o włosach koloru sieci pajęczej,

zapukała do wrót wieży i spytała Małego, czy mógłby ją wspomóc w trudnym czasie, młodzieniec odpowiedział beztrąsko:

– Nie obchodzą mnie wasze przyziemne sprawy. Pragnę tylko wzbić się w powietrze.

Odpowiedź ta wywołała irytację i pogardę kobiety, która bez słowa pożegnania szybkim krokiem udała się w stronę drewnianej chaty, uchodzącej za opuszczoną, a zaraz za nią popędziło stado wygłodniałych kotów, liczących na kęs mięsa. Od tego wydarzenia nie minął rok, a w miasteczku, jak i w całym kraju sytuacja stała się dramatyczna. Głód i zaraza ogarnęły pobliskie wioski, siejąc spustoszenie i śmierć. Codziennie stały się polowania na wiewiórki i kradzieże tak bezwartościowych przedmiotów jak garnki. Mimo niszczycielskich skutków wojny, Savas wciąż optymistycznie podchodził do życia i uśmiechał się głupkowato do ptaków mknących po niebie. Nocami wychodził na dach wieży, ryzykując upadek z klifu prosto w ostre jak szpile skały i patrzył na wielki księżyc, który leniwie wtaczał swe cielsko na sklepienie, podtrzymywane przez Atlasa. Marzył o tym, by któregoś dnia dolecieć do niego na skonstruowanych przez siebie skrzydłach i stanąć na jego lustrzanej powierzchni. Śmiał się do gwiazd, które każdego wieczora wdzięcznie do niego mrugały, zachęcając, by do nich pofrunął. Jednak maszyna wciąż nie była gotowa, a ciała niebieskie zdawały się oddalać.

Z pozoru niezmacony spokój Savasa musiał w końcu zostać zakłócony. Minął rok i znów nadeszła jesień, czyli czas zbiorów. Szacowano, że tegoroczne plony miały starczyć jedynie do końca grudnia. Głód boleśnie ścisnął brzuch Małego, ale nic nie mogło pokrzyżować jego planów tak bardzo, jak wieść o poborze do armii króla. Z każdej rodziny został wytypowany jeden mężczyzna, nieważne, czy był zdrowy, czy chory. Sęk tkwił w tym, że marzyciel był sierotą, nie posiadał rodzeństwa i nigdy nie widział na oczy dalszej rodziny. Znaczyło to, że był zobowiązany do zgłoszenia się następnego dnia wczesnym rankiem na głównym placu. Stamtąd mężczyźni mieli zostać zabrani na front, a tam czyhała jedynie śmierć. Chociaż Mały był uważany za głupca, miał wystarczającą ilość rozumu, by wiedzieć, co za tym idzie. Stworzone przez niego skrzydła skończyłyby zapomniane pod warstwą kurzu i nigdy nie doczekałyby się pierwszego lotu. Savas nie mógł na to pozwolić, dlatego zanim słońce zdążyło wzejść, wyciągnął spod grubej narzuty maszynę i ruszył z nią w stronę urwiska. Stamtąd mógł obserwować plac, na którym zbierali się już nieszczęśnicy. Szaleniec rozłożył płócienną skrzydła rozpiętą na belkach i podpiął je sobie do ramion skórzanymi pasami. Najbardziej martwiło go to, że wynalazek nie był jeszcze skończony i wiele brakowało mu do doskonałości, jednak był także jego ostatnią szansą na spełnienie marzeń i ucieczkę przed wojną. Spojrzał z góry na zebranych, rozpędził się i skoczył prosto w przepaść. Kiedy jego stopy ostatecznie wyrwały się z uścisku ziemi i zaczął spadać, w jednej przerażającej chwili pojął, że skrzydła mogą się nie rozłożyć, a on zginie roztrzaskany o skały. Wiatr ryczał mu w uszach i kiedy już pogodził się ze śmiercią, niedopracowana maszyna zadziałała, a płótno rozpostarło się nad nim. Silne skrzydła uniosły wątłe ciało nad ziemię, ku zdumieniu mieszczan obserwujących nieudolnego Savasa. Mały zaśmiał się do nich z wysokości i skierował się na zachód, pozostawiając za sobą rodzinną miejscowość. Pierwszym jego celem było odszukanie samotnego zakątka, który mógłby się stać jego pustelnią. Ptaki typowały na zawieszonoego w przestworzach człowieka paciorkowatymi oczami niemal ze zdziwieniem, lecz całkiem przyjaźnie powitały nowego kamrata w stadzie.

Nadeszło południe, kiedy Savas przeleciał nad puszcza, a pod nim rozciągnął się złocisto-szary step. Wśród traw dały się zauważyć zające, które buńczucznie unosiły uszy i marszczyły mordki na widok nieznanego ptaka. Mały z przestrachem zauważył, że latanie zaczyna go nudzić, ptaków nie bawiły podniebne igraszki, zaś on został sam w powietrzu. Z oddali dał się słyszeć mocny głos setek, a może i tysięcy ludzi. Savas spostrzegł armię, idącą

przez pustkowia z uniesionymi wysoko szkarłatnymi sztandarami i wojenną pieśnią na ustach. Powoli podleciał do kompanii i mimo, że znajdował się tuż nad ich głowami, mężczyźni byli zbyt pogrążeni w zadumie, by do ujrzeć. Byli wśród nich tacy, którzy idąc, pozostawiali za sobą krwawe smugi na suchej ziemi i pożółkłej trawie. Mały nie miał zamiaru dłużej przyglądać się niedoli pobratymców, więc wzbił się w niebiosy i minął żołnierzy. Tuż przed nim rozciągała się przełęcz, która z góry przypominała rysę na szkłe. Dalej za nią step otwierał się przed nim niczym wachlarz, który nie miał końca. Kraj był spustoszony, wśród traw co jakiś czas pojawiały się zwęglone ruiny spalonych miasteczek i morza krwi, przypominające o niedawno stoczonych w tamtych okolicach bitwach.

Nastała noc. Słońce chyliło się ku zachodowi, by wkrótce skąpać się wśród brunatnych traw, splamionych krwią poległych. Na granatowe niczym atrament niebo leniwie wpełzł otoczony bladą łuną księżyc w towarzystwie gwiazd. Savas, przemarznięty do szpiku kości, wylądował wśród trzcin i złożył swe skrzydła, jedyną rzecz, która mu pozostała i która czyniła go szczęśliwym. Wojna odebrała mu dom i miasteczko, w którym mieszkał, jednak nie to najbardziej martwiło Małego. Stracił również część siebie, odkąd wybuchła, przestał być dawnym marzycielem Savasem. Już nie patrzył na świat z optymizmem i stoickim spokojem, lecz bał się o przyszłość, a niebo, ptactwo i ciała niebieskie nie były tak przychylne, jak niegdyś. Savas postanowił umościć się na suchej trawie i nim się obejrzał, Morfeusz chwycił go w swoje objęcia.

Wtem poczuł w nozdrzach nieprzyjemny, gryzący odór. Zerwał się na równe nogi ze swego postania. Jak się okazało, zbudził go czarny niczym smoła dym, który zawisł nad polaną. Był wszędzie. Płuka lotnika wypełniły się sadzą, nie mógł oddychać. Mały rzucił się na oślep do swoich skrzydeł, przywdział je i wzbił się w powietrze. Pierwszą jego myślą było odlecieć i znaleźć schronienie, jednak skusiła go ciekawość, więc postanowił udać się za wstęgą dymu. Tak więc podążył za oparami, aż w końcu doleciał do ich źródła. Ujrzał agresywne, ogniste jęzory, które łapczywie pożerały leżącą w kotlinie wioseczkę. Płomienie lizały drewniane ściany niewielkich domków, zaś ze słomianych dachów pozostał sam popiół, tworzący szare dywany na ziemi. Pożar gwałtownie się rozprzestrzenił, niszczył wszystko, co niegdyś zostało zbudowane w pocie czoła przez ludzi. Wśród zgliszczy biegały dzieci, których ruchy krępowały podarte łachmany, ciągnące się za nimi po ziemi. Zatrwożone matki brały maleństwa w swe objęcia, by uchronić je przed żywiołem, zaś mężczyźni chwycili za kosy, gotowi bronić się przed wrogiem. Otóż wioskę okrążyli przerażający, czarni jeźdźcy, niosący śmierć. Siedzieli na grzbietach karych rumaków, przypominających żelazne maszyny. Twarze zasłaniały kaptury, a w rękach trzymali pochodnie, które bezlitośnie rzucali na chatki. Na szyi każdego z nich wisił szmaragdowy talizman, błyskający złowrogo w blasku ognia. Najeźdźcy spokojnie przyglądali się swojemu okrucieństwu, usatysfakcjonowani swym dziełem, otoczyli osadę, tworząc zamknięty pierścień. Chłopi nie widzieli szansy na przeżycie, szlochając, po raz ostatni przytulali do piersi potomstwo.

Scenę tą Mały obserwował jakby we śnie. Jeszcze nigdy nienawiść do innych ludzi nie ukazała mu się w tak wyrazisty sposób. Szybując nad płonąca wioską, pragnął jedynie zmienić się w ptaka. Chciał należeć do tak odległego ludzom gatunku, beztrąsko spoglądać na ludzkie zło. Nienawiść była tylko igraszką, przyziemną sprawą, która nigdy go nie obchodziła, dopóki nie zrozumiał, że nie może jej ignorować. Właśnie wtedy Savas odrzucił wszystkie swoje poglądy, marzenia, porzucił marzącego Małego, który wieczory spędzał samotnie na obserwowaniu gwiazd. Może resztką rozumu, którą posiadał, tajemniczym sposobem ulotniła się z jego głowy, ale teraz nie miał czasu nad tym rozmyślać. Szaleństwem było to, na co się odważył. W powietrzu zwinął skrzydła i runął w dół. Jeźdźcy spojrzeli w

górze, w zdumieniu obserwując poczynania spadającego konstruktora. Jak bardzo się zdumieli, gdy dziwna kreatura tuż nad ziemią ponownie wzleciała nad ogniem i okazała się być człowiekiem z doczepianymi, płóciennymi skrzydłami. Płomienie zdołały liźnąć tkaninę i maszyna Savasa w jednej chwili zajęta się ogniem. Młodzieniec zamienił się w lecącą kulę ognia, jego ubranie również zaczął trawić zabójczy żywioł. Obserwujący wstrzymali oddech, gdy płonący chłopak zniżył lot, a skrzydła otarły się o płaszcze najeżdżających osadę mężczyzn. Wygłodniały, niewdzięczny ogień zaczął pożerać ich ciała, ignorując cierpienie, które zadawał swym twórcom. Kapłani rozpięchli się, krzycząc, lecz dobrze wiedzieli, że nic już nie mogą zrobić. Było dla nich za późno, ich własne konie zrzuciły ich z grzbietów i z donośnym rżeniem pogalopowały daleko w nieznane. Najeźdźcy zginęli od niszczącej siły, której sami dali życie. Ich zwęglone zwłoki spoczęły na ziemi, a jedyne, co zostało się z ich garderoby, to iskrzące się zielenią talizmany.

Ogień uśpił się i zgastł. Wzeszło słońce. Jego promienie oświeciły rumowisko wioski. Dopiero, kiedy zbici w kupkę ludzie poczułi jego ciepło na twarzach, odważyli się podejść do szkieletu skrzydeł, na których leciał ich wybawca. Wprawdzie domy spłonęły, lecz udało im się ocalić życie własne i dzieci. Ciało Savasa zostało pochłonięte wraz z jego marzeniami, na świecie nie pozostało nic, co mogłoby o nim przypominać, z wyjątkiem żelaznych prętów, na których niegdyś było rozpięte płótno.

Nim marzyciel zdążył wlecieć w zarzewie ognia, wspomniał o swych snach, które od lat nadawały sens jego życiu. Udało mu się osiągnąć zamierzony cel, bowiem oderwał ludzkie stopy od gruntu i uniósł nędzne ciało w przestworza. Wprawdzie nikt nie mógł ujrzeć jego triumfu, ale był już spełniony. Można by rzec, że bohaterem stał się przez przypadek, ale tuż przed śmiercią, w głębi duszy zrozumiał, że Wojna spłaciła wobec niego dług. Ona odebrała mu sny, spokój, zmusiła do udawania kogoś, kim nie jest, zaś w zamian za to on nie pozwolił na rozlew krwi niewinnych ludzi. W końcu Wojna żywi się śmiercią cywili. Być może odciążony Savas zmienił się w jedną z jaskółek, przecinającą niebo niczym błyskawica? Nam, istotom, które wciąż zamieszkują ten pełen cierpienia świat, niedane jest dzisiaj się tego dowiedzieć. Lecz któż może przewidzieć, co przy niesie jutro?



Rzeczy, które robiliśmy z miłości

„Obiecali, że wszystkie sny się spełnią, ale zapomnieli wspomnieć że koszmary również.”

Ciemność była jak żywa. Cienie tańczyły wokół niego niczym baletnice w hebanowych spódniczkach. Czas zwolnił i przez sekundę wszystko wydawało się piękne i harmonijne. A potem mrok ożył i wyciągnął po niego swoje wykoślawione macki. Czuł śliskie smagnięcia na całym ciele, uścisk w klatce piersiowej. Otworzył usta chcąc krzyknąć, ale zakrztusił się własnym urywanym oddechem. Obraz zaczął się przed nim formować, skruszył się i wyostrzył, pojaśniał. Powietrze wypełnił metaliczny zapach krwi.

Na marmurowej, zimnej posadzce leżała młoda kobieta, z zamglonym spojrzeniem utkwionym w świetliku w suficie. Włosy tworzyły wokół jej głowy białą aureolę. Ostatnie promienie zachodzącego słońca zalewały złotym blaskiem czerwoną plamę powiększającą się na piersi. Nad ciałem stał mężczyzna w długim płaszczu. Kaptur krył jego twarz w cieniu, ale na piersi błyszczał szmaragdowy talizman, znak przynależności do odłamu kapłanów *Viride*.

– Królu Tamielu – odezwał się nieznajomy z drwiną w głosie. Upuścił na podłogę srebrny sztylet, teraz skąpany w krwi i zanim powietrze przestało wibrować od dźwięku uderzenia metalu o kamień, zniknął w łukowatym przejściu, ciągnąc za sobą ciemnopurpurową szatę.

Młodzieniec upadł na kolana obok umierającej ukochanej. Jej niegdyś nieskazitelna skóra straciła blask, a oczy nieskutecznie czegoś szukały. Tamiel objął ją, pochylił się, zaniósł szlochem, przypominającym ryk rannego zwierzęcia. Końcówki jego ciemnych włosów topiły się w ciepłej krwi. Całe rękawy jego szaty do wysokości łokcia przemokły czerwienią, która leniwie spływa po dłoniach, oplatając palce szkarłatnymi wstęgami. Kobieta w jego ramionach drgnęła i ostatnim słabym tchnieniem wyjąkała:

– Mogłeś temu zapobiec...

Zerwał się ze snu gwałtownie, prawie spadając z łóża. Pościel ze skór zwierzęcych i satynowe poszewki tworzyły kłębowisko, potrzebował chwili, żeby się z nich wyplątać. Rzucił niespokojne spojrzenie w bok, na śpiącą żonę. Nigdy nie mógł nadziwić się jej nietuzinkowej urodzie. Jasna cera przybrała chłodny odcień w świetle księżyca, które kładło refleksy na jej srebrzyste włosy i rzucało cienie na skrywające fiołkowe oczy powieki. Cersei była dla niego wszystkim i żadna korona, władza, bogactwo, posłuch, armia podbijająca ziemie w jego imieniu lub lud sławiący swego króla, nic z tych rzeczy nie miało wartości, jeśli jej nie było obok. Dlatego powtarzające się sny, w których obserwował jej śmierć coraz bardziej go niepokoiły. Koszmary dręczyły go od miesięcy, za każdym razem wyraźniejsze, wbijające się w pierś bolesną szpilą. Coraz częściej zadawał sobie pytanie, co oznaczają.

Energiczne pukanie wyrwało go z zamyślenia. Cersei obudziła się, podniosła i przetała zaspane oczy.

– Któż przychodzi o takiej porze?

Tamiel zawołał „wejść” i dębowe drzwi uchyliły się, skrzypiąc w proteście. W smudze światła samotnej świecy, ukazała się twarz lorda Mariniusza, najwyższego kapłana na dworze królewskim i najwierniejszego doradcy króla. Widocznie jego też wyrwano ze snu, bo wdział jedynie ciemny płaszcz.

– Wasza wysokość, błagam o wybaczenie, że niepokoję. Lord Clariuidens miał wizję i...

– Doprawdy, to nie może poczekać do poranka?

– Niech wasza wysokość raczy wybaczyć – wydukał nienaturalnie uniżonym tonem – lecz stało się coś niespodziewanego. Lord zapadł na chorobę, trawi go gorączka. A to widzenie... Opowiada nierealne historie, coś... – przetknął ślinę – Jakby podobne do snu, o którym wasza wysokość mówił.

Serce zabiło Tamielowi w piersi ze zdwojoną siłą. Clariuidens pochodził z rodziny wielopokoleniowych jasnowidzów, którzy nieraz przepowiadali klęski i zwycięstwa królestwa. Wizja z jego doli mogła być zatem przekleństwem lub błogosławieństwem. Zerwał się z postania, narzucając szatę na ramiona, a żona poszła w jego ślady. Po chwili cała trójka przemierzała zimne korytarze dworu wyłożone kamieniem i marmurem, mijając rzeźby mitycznych scen i popiersia bohaterów. Obute buty stuknęły o bazaltowe i granitowe posadzki.

W komnacie chorego panowało poruszenie i cichy szmer. Medycy uwijali się przy pulchnym staruszku, który mamrotał niezrozumiale pod nosem. Zobaczywszy swego umiowanego króla próbował wstać, lecz Tamiel gestem rozkazał mu pozostać nieruchomo. Czoło lorda pokrywały krople potu, widać było, że cierpi.

– Wasza wysokość – wydukał. – Widziałem straszny obraz... Bogowie zesłali mi okrutną wizję... Krew... Tyle krwi... I jej królewska wysokość... – urwał walcząc o dech. Na chwilę oczy wywróciły mu się białkami do góry. Medycy przyskoczyli do niego uzbrojeni w zioła, wywawy i mikstury, które rozciągały mdły, lepki zapach.

Lord Clariuidens dalej szeptał coś gorączkowo. Tamiel był w stanie wytapać tylko kilka słów, ale z pewnością usłyszał „Viridowie” i „zdrada”. Krew zamarzła mu w żyłach.

– To trucizna! – zawołał niespodziewanie jeden z medyków. Zabłąkany promień księżyca przedarł się przez ciężkie zasłony i oświecił wykrzywioną twarz Clariuidensa, wysypkę wstępującą na jego gardło. Skóra zaczynała puchnąć i skwerczeć niczym polana kwasem. – Wyciąg z wilczych jagód...

Rozpoczęło się gwałtowne zamieszanie, lekarze próbowali spowolnić działanie toksyny, ale koniec był nieubłagalnie bliski.

– Mu... muszę pomówić z królem – wycharczał lord. Tamiel bez słowa przysunął się do łoża, pochylił, by nie uronić ani słowa. – Oni przyjdą... Będą zabijać... Jeśli wasza wysokość chce ją ochronić – jego głos był coraz słabszy – niech nie da się zwieść. Dobre będzie się wydawało złe i na odwrót. – Zgiął się spazmatycznie w ataku kaszlu – Viridowie, zdrada...

Wydukał jeszcze jedynie coś zbliżonego do „bądźcie ostrożni”, a potem charcząc i krztusząc się, złożył głowę na poduszce.

Sala obrad była monstrualnych rozmiarów, co sprawiało, że trzy samotne postacie wyglądały niemal żałośnie wśród tłoku zdobionych krzesel i pod czujnym okiem wielkiego smoka wyrzeźbionego w suficie. Jego cielsko ciągnęło się przez całą długość pomieszczenia, ogon oplatał wschodnią ścianę. Każda łuska błyszczała, odbijała wszelkie kolory tęczy, idealnie wypolerowana i wyszlifowana. Obserwator odnosił wrażenie, że potwór w każdej chwili może rozwinąć skrzydła i odlecieć.

Król zajmował swoje miejsce u szczytu stołu. Ręce oparł na blacie, a twarz ukrył w dłoniach. Ostatnie słowa wieszczą, jego upiorna śmierć i nocny koszmar stały mu przed oczami, nawet gdy je zamykał, jakby ktoś wyrwał je na wewnętrznej stronie powieki. Nie mógł się uwolnić od złego przeczucia. Miał wrażenie, że rozpędza się, toczy, biegnie, coraz szybciej, ślepo w stronę przepaści, nieodwracalnego upadku.

Królowa stała za nim, gładząc po ramieniu. Wzrok miała zamyślony. Lord Marinius kręcił się przy wielkiej mapie, mamrotał pod nosem, dreptał w miejscu.

– Wasza wysokość, proszę się nie trapić, jest wyjście. Jeśli rozpoczniemy przygotowania natychmiast, wojsko wyruszy w ciągu dwóch tygodni. Odetną dostęp do stolicy Viridom, żaden się nie wymknie. Otoczymy wszystkie miasta, które wspierają ich działalność, na próżno będą czekać na pomoc!

Król podniósł nieobecny wzrok na doradcę. W jego głosie nie było zwyczajnego dla niego przekonania, bardziej jakby mówił to tylko z poczucia obowiązku:

– Nie poślę armii przeciwko mojemu ludowi, który jest niewinny w waszym konflikcie! Niech Kapłani sami rozwiązują wewnętrzne sprawy.

– Mój królu, jedyne czego chcę to ocalić nas przed spełnieniem się proroctwa! – Na samo wspomnienie o przepowiedni mina króla zbladła, stracił pewność. – Lord Clariuidens mówił wyraźnie, jako i twój sen potwierdza, że za sprawkami tymi stoi szczerp Viridów. To oni podali mu truciznę, wilcze jagody to ich specyficzny znak. Wszystkie szlaki prowadzą do nich.

Cersei zrobiła krok do przodu oburzona. Pudrowe rumieńce wykwitły jej na policzkach, gdy ze zgrozą krzyknęła:

– Bogowie, jakże można tak mówić! Zamiast jednoczyć, pogłębia się podziały! Widzenie, prowokacja, wszystko jest wymówką. – Zwróciła się do męża miękko, delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu, chcąc dodać otuchy. – Tamielu... Przyszłość jest nieuchwytna. Wiem, że zmartwienia zaprzatają ci umysł, ale nie dręcz się. Nic mi nie będzie, i na ciele, i na duszy, pod warunkiem, że zapewnimy pokój.

– Czy pokój uchroni cie przed ostrzem wroga? – odparł gorzko.

– Mój panie, musisz odpowiedzieć na zniewagi zdrajców i oszustów! Każdy, kto wspiera Viridów jest winny. Bojownicy są coraz bardziej śmiali, nie kryją swoich podłych występków, a teraz widzenie wieszcza! Potwierdza nasze najgorsze obawy. Czyż chcesz dopuścić, by się spełniło?

– Nie – przerwał mu stanowczo król. – Nie dopuszczę do tego. Jednak wojny buntowników nie łączy nic z tym postanowieniem.

– Wszakże właśnie oni zdolni byliby posunąć się do takiego zuchwalstwa, by wtargnąć do zamku i grozić twej rodzinie.

Królowa poruszyła się niespokojnie. Zmarszczyła brwi, zacisnęła pięści, odrzuciła pasmo srebrzystych włosów na plecy.

– Jeśli takie jest moje fatum, jestem na nie gotowa. Nie można ingerować w wolę bogów.

– Wolę wierzyć, że sami sprawujemy pieczę nad własnym losem – odparował Tamiel.

– Tak jest, mój królu – zapewnił Marinius gorliwie. – Nie czekaj, aż ktoś dowiedzie cie do konieczności, działaj, to jedyny sposób...

– Tamielu, to przyniesie więcej szkód niż dobra...

– Dosyć – rzucił pod nosem król, urywając wszystkie kłótnie. Zwrócił się do żony. – Nie przekonasz mnie Ja... nie mogę cie stracić.

Spojrzała mu w oczy z czułością, bezgłośnie błagając o opamiętanie. Złożyła na jego ustach pocałunek, delikatny jak muśnięcie skrzydeł motyla; lord ostentacyjnie odwrócił wzrok.

– Poradzimy sobie z tym jakoś – szepnęła królowa. – Coś wymyślimy, nie musisz...

– Już podjąłem decyzję. – Potarł twarz dłonią i siedział przez chwilę z zamkniętymi oczami, próbując uciszyć myśli w swojej głowie. Jakiś nieznany niepokój szarpał brzegi jego świadomości, poczucie nieuchronności, nieodgadniony lęk ostrzyły szpony gotowe zaatakować.

W komnacie zapadła pełna napięcia cisza. Rzeźbiony smok łypał na zebranych podejrzliwie, całkiem jakby przeczuwał zbliżającą się katastrofę. Możliwe, że tak było, w końcu tu, pod jego skrzydłami zapadły dziesiątki decyzji, które odwróciły losy świata. A stwór mógł jedynie biernie się im przyglądać i powtarzać samemu sobie: „Głupcy, szukacie odpowiedzi w odległych krainach, na szczytach gór, dnach mórz, w otchłaniach kopalni i gęszczach lasów, podczas gdy one są tuż przed wami, w prostym człowieku”.

Słyszał już tylu złych ludzi dokonujących złych wyborów, a mimo to jęknął cicho, zatrzeszczał, gdy usłyszał głos Tamiela:

– Wydadź rozkaz. – Patrzył ponad ramieniem lorda, nie na Cersei. Nie mógłby wytrzymać jej spojrzenia. – Niech przygotują oddziały do wymarszu. Powołać rezerwy. Podwoić straż wokół miasta. Patrolujcie gościńce i szlaki. Znajdźcie wszystkich Viridów, odpowiedzą za zdradę.

– Nie! – jęknęła królowa. – Tak nie można! Wojna z powodu szemranej przepowiedni?

Tamiel spojrzał na Mariniusza.

– Możesz odejść. Dopilnuj wszystkiego.

Lord ukłonił się, ale król nie zwracał na niego już najmniejszej uwagi. Powoli przeniósł wzrok na ukochaną, która nie ukrywała wściekłości. Kręciła głową z taką naganą, że Tamiel niemal pożałował. Niemal. Jeśli taka była cena uratowania jej życia, był gotów ją zapłacić. Ciche trzaśnięcie drzwiami oznaczało, że Marinius opuścił salę, a Cersei natychmiast zalała go falą oskarżeń.

– Klnę się na wszystkich bogów, to najgorsza rzecz jaka spadła na to królestwo i nas dwoje! Jak mogłeś to uczynić? Czy postradałeś rozum?

– Najukochańsza, straciłem go dawno temu. – Jego usta drgnęły w ledwo dostrzegalnym uśmiechu. – Dla ciebie. Nie będę obserwować, jak groźba wisi nad twoim życiem. Zdrajcy zapłacą za to. – W jego oczach błysnęła niebezpieczna iskra paranoi, szaleństwa.

– Zapłacą? Zapłacą? Za coś co się nawet nie wydarzyło? Od kiedy kara następuje przed zbrodnią? Skoro przeznaczenie zgotowało mi taki los, to...

– Jeśli przeznaczenie istnieje – wszedł jej w słowo – to być może ono nakazało mi tak postąpić. – Podeszedł do niej i objął jej twarz dłońmi; chciał tylko, żeby fiołkowe oczy przestały na niego patrzeć z nienawiścią. – Cersei – wymówił jej imię miękko, jakby samo jego brzmienie było skarbem w jego ustach. – Robię to dla ciebie, nie rozumiesz? Ochronię cie. Nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić. Nie musisz trapić się przyszłością, przysięgam, że zadbam o nią dla ciebie.

– Nie chcę takich przysięg! – krzyknęła, odpychając go od siebie. – Nie chcę wojny z mojego powodu! Pozwolisz setkom ludzi przelewać krew, abym ja jedyna nie musiała ginąć? W czymże moje życie jest cenniejsze?

Opowiedziało jej twarde i dumne spojrzenie, nie męża, nie powiernika, lecz króla, który żądał posłuszeństwa wobec swoich rozkazów. Cersei wielokrotnie łagodziła jego wyroki, ale ten jeden raz nie mogła nic zmienić. Upór Tamiela promieniował z każdego jego słowa, spojrzenia, ruchu. Chociaż nikomu się nie przyznawał, dawno temu zaczął tracić wiarę w bożków, kapłanów i jedyną rzeczą, która była dla niego święta, pozostawało życie żony.

– Proszę cię po raz ostatni – zaczęła powoli Cersei, podchodząc do niego; delikatne, jedwabne i kaszmirowe szaty sunęły za nią z szelestem. – Błagam, odwołaj rozkaz. Jeśli nie zatrzymasz walk – zmrużyła oczy – nie wybaczę ci tego. *Nigdy*.

Pokręcił smutno głową, ale nie ruszył się z miejsca. Obserwował, jak Cersei z gniewem wypada przez drzwi, niczym burza, niszcząca wichura, gotowa zranić każdego na swojej drodze. Królowa, zazwyczaj pogodna jak bryza, nieśmiały zefirek, która jedynie chciała dla wszystkich dobra, w obliczu wydarzeń zmieniała się w huragan. Nie rozumiała, nie chciała rozumieć, co kierowało ludźmi, którym przejmność sprawiało czyjeś niepowodzenie. Ludzie nie są jak śnieg, deszcz, czy jesienne liście. Nie wyglądają pięknie, gdy upadają.

A lord Marinius? Choć wielu tego nie dostrzegało, ona widziała prawdę. Należał do okrutników, którzy mogliby podpalić skrzydła motylom, aby przyglądać się, jak płoną i giną w locie. Jego serce było zgorzkniałe i zgniłe, ziała w nim pustka, której nie potrafił zapełnić, więc czynił taką innym. Jednak bez zważania na to, musiała poprosić go o pomoc.

Cersei dogoniła kaptana tuż przed wyjściem na dziedziniec. Na jego ramieniu siedział sokół z świstkiem pergaminu przywiązany do nogi. Ujrawszy ją, otworzył dziób w groźnym geście.

– Lordzie Mariniusie! Cóż ma znaczyć ta maskarada? Żądam, abyś powstrzymał tę farsę. Król nie myśli racjonalnie, więc wykorzystaj swoje względy i powstrzymaj go.

– Wasza wysokość nie może mnie o to prosić. Nie śmiałbym podważyć nakazów władcy.

Nie powiedział, że nie chce ich zmieniać. Nie powiedział, że pragnął tego od dawna, że włożył w to wiele starań. Że ma swój własny, nieznany nikomu innemu cel; nie musiał, bo Cersei wiedziała.

– Do czego dążysz, lordzie? – zapytała, a w jej głosie świszczała wściekłość, histeria. – Czyż nie masz już bogactw, złota, posiadłości? O co dbasz jeśli nie o władzę, której ci nie mało? O zaszczyty, o chwałę, splendor wśród ludu? Po co ta wojna, skoro nie w imię chciwości ani pychy? Czego ty chcesz, lordzie?

Kapitan skłonił głowę, ale przypominał bardziej dziecko, któremu ciężka wina uszła na sucho.

– Wiele już prowadzono walk o sprawy, które wspominasz, pani. Lecz czy można mnie winić o moje? – uśmiechnął się chłodno, z kpiną. – Ja tylko chcę, aby ludzie opowiadali swoim dzieciom przerażające historie o rzeczach, które robiliśmy *z miłości*.

Kiedy dwa tygodnie później odbywała się odprawa wojsk królewskich ze stolicy, wiał lodowaty wiatr. Wicher dął z północy, pędził na niewidzialnym rumaku, porywając opadłe liście do tańca. Niebo zasnuły bure chmury zwiastujące zbliżającą się ulewę.

Tamiel obserwował z balkonu zamkowy dziedziniec. Generałowie Królewskiej Gwardii Kapłańskiej na karych koniach, z dumnie uniesionymi podbródkami, w idealnie równym rzędzie słuchali ostatnich rozkazów. Wszystko odbywało się w typowym zgietku, ale cisza w sercu króla była głośniejsza.

Obok niego stała królowa. Tego dnia przywdziała czern, twarz okryta woalką. Przez otulające ją warstwy szyfonu i ciężkiego aksamitu sprawiała wrażenie jeszcze delikatniejszej, jednak wzrok miała twardy. Tamiel wiedział, jak bardzo jest wściekła, jak rozżalona z powodu tego co działo się w królestwie. Odkąd padł rozkaz do mobilizacji armii, nie odezwała się do niego ani słowem. Swoim milczeniem złamała mu serce, ale wciąż ją kochał, każdym jego odłamkiem.

Najgorszym dniem w kochaniu kogoś jest dzień, w którym traci się tę osobę. A chociaż Cersei była tuż obok, równie dobrze mogłaby się znajdować na drugim końcu świata. Stała się zimna, odcięła się od niego. Taka kara czekała go za robienie tego, co uważał za słuszne?

– Możesz darzyć mnie nienawiścią – odparł powoli przełknąwszy gulę smutku – ale wiedz, że mogąc wybierać między każdą rzeczą tego świata a tobą, zawsze wybiorę ciebie. – Spojrzał na nią; głowę miała spuszczoną, nawet przez tiulową zastonkę widać było łzy w jej oczach. – Możesz mnie odrzucić, dni i lata będą mijać nam w smutku, ale ja każdej nocy będę patrzył w gwiazdy i księżyc, te same, które ty oglądasz. I to mi wystarczy.

Trwali chwilę w milczeniu, wicher świszczał im w uszach. W końcu królowa otarła szybko kącik oka i odwróciwszy się na pięcie, wróciła do zamku.

Armia przetaczała się defiladą przez dziedziniec. Oddziały maszerowały równo, jak marionetki sterowane sznurkami, z rytmicznym dudnieniem ciężkich butów. Czerwone sztandary łopotały na wietrze. Setki żołnierzy przetaczały się przed dziedziniec, ciągnąc za sobą aurę chwały i rozpacz. Po niebie toczył się grzmot, mieszał ze szczękiem żelaza, końskich podków, świstem lotek od strzał i jękiem pozostawianych w domach żon, córek, siostr... Zaczęło kropić. Po policzku Tamiela spłynęła samotna kropla, ale nie dało się stwierdzić czy to łza, czy deszcz.

Parę kroków za królem, lord Marinius wykrzywił twarz w okrutnej imitacji uśmiechu. Tego dnia odniósł zwycięstwo. Wszystko poszło zgodnie z planem. Kto by pomyślał, że to będzie takie łatwe? Kilka owoców wilczej jagody, proste zaklęcie zsyłające koszmary, słówka szeptane do ucha, dobre słówka, mądre, właściwe, prawe. Bo wojna w imię miłości może być prawa, czyż nie? Cel uświęca środki... A miłość tak oddana, tak wierna, czyż nie jest cnotą?



Stopka redakcyjna - koło dziennikarskie Zespołu Szkół Sióstr Nazaretanek w składzie: Marcelina Buczek, Aleksandra Bugajska, Anna Janikowska, Klaudia Konieczna, Konstancja Koziańska, Emilia Kurowska, Jeremi Rusin, Szymon Szczęsny, Gabriela Uchwat, Urszula Wójtowicz, Magdalena Wronka, opieka: Dorota Kaczmarczyk